UMCS LUBLIN

W NUMERZE: Uchwała Międzywojewódzkiej Narady ● 20-lecie PPR na Ziemi Chełmskiej ● Po Sesji Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej ● Spór o miasto w roku 2000 ● Wieś jest już inna, panowie! ● Rzeszowskie eksperymenty ● Pedanci nowoczesności ● Powstaje „Reflektor" ● Profile ● Wyniki Konkursu „Kameny" pod hasłem „Kultura w powiecie i w gromadzie ● I in.

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN

15/30.IV.1962

Nr 7/8 (245/246)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

LUBLIN – BIAŁYSTOK – KIELCE – RZESZÓW

KULTURA HISTORIA RZECZYWISTOŚĆ

MGR EUGENIUSZ CIURUŚ

Sekretarz KW PZPR w Białymstoku

BIAŁOSTOCCZYZNA była terenem przejściowym różnych grup narodowościowych, ktore w ciągu wieków wymieniały się, tworząc przemieszanie tradycji kulturalnych.

I dziś mieszka tutaj około 14% ludności białoruskiej, 30 tysięcy ludności litewskiej. Dla bardziej pełnego rozwoju masowo-kulturalnego, szczególnie na wsi, konieczne jest głębsze nawiązanie do ludowej twórczości różnych grup mniejszości narodowych. Tym bardziej, że wymienione grupy stanowią zwartość etniczną.

Do pewnych szczątków świadczących o olbrzymich ruchach ludnościowych na terenach Białostocczyzny należą też etnicznie mniej zwarte grupy narodowościowe. Na przykład Tatarzy i Rosjanie. Ludność tatarska w zależności od dotychczasowego stopnia skupienia zachowuje jeszcze swoją odrębność tylko religijną. Kwestie narodowościowe nie odgrywają tu żadnej roli.

Geneza osadnictwa zawołżańskich i krymskich plemion tatarskich sięga prawdopodobnie panowania Witolda i książąt litewskich.

Niewątpliwie ciekawym zjawiskiem w stosunkach kulturalnych powiatów północnych jest napływowa ludność rosyjska. Prawa zwyczajowe i stosunki obyczajowe tej ludności, zwanej przez miejscowych chłopów „starowierami", oparte są głównie na kanonach religijnych.

Na terenach odzyskanych mamy też część autochtonicznej, jak również osiedlonej po wojnie — ludności ukraińskiej.

Poza tym występują pewne odrębności etnograficzne w tej części województwa, którą od dawien dawna zamieszkiwała ludność polska. Najwyraźniej o tym świadczą dokumenty twórczości ludowej, jak: wycinanki, hafciarstwo, tkactwo, ceramika, rzeźba w drzewie, urządzenia wnętrza domowego, różne tradycje i obyczaje ludowe.

Jak dotychczas propagowaniem sztuki jako atrakcyjnego zabytku dawnych kultur regionu zajmuje się „CPLiA". Niepokoi fakt, że to przedsiębiorstwo bodaj wcale nie troszczy się o utrzymanie oryginalności tej sztuki. Ze względów komercyjnych wpływa na jej stylizację, na odstępstwa od motywów ludowych, w praktyce na odejście od tego, co kiedyś nosiło nazwę sztuki regionu, ludowej twórczości.

Tradycje kulturalne, oprócz reprezentacyjnego zespołu Pieśni i Tańca Wojewódzkiego Domu Kultury „Kurpie Zielone", odradzającego się zespołu regionalnego „Suwalszczyzna", Zespołu Zarządu Głównego Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, Litewskiego w Puńsku i Ukraińskiego w Baniach Mazurskich — reprezentuje ponad 700 różnorodnych amatorskich zespołów artystycznych, przede wszystkim na wsi.

Sam rolniczy charakter naszego województwa również w zdecydowany sposób wyznacza kierunki i formy działalności kulturalnej. W tej sytuacji zawodowe placówki artystyczne, oświatowe muszą wiązać swój program z potrzebami i charakterem województwa, a nie tylko samego miasta wojewódzkiego czy powiatowego.

Wraz z elektryfikacją do 50% wsi białostockich zawędrowało już około 120 tysięcy radioaparatów. Z rozwojem mechanizacji rolnictwa i techniką, do życia wsi wkracza motoryzacja, a więc i kultura techniczna. Oprócz traktorów i innego sprzętu mechanicznego, na które państwo wydaje około 240 milionów złotych rocznie z tytułu tylko Funduszu Rozwoju Rolnictwa — wieś białostocka jest już w posiadaniu około 32 tysięcy motocykli. Liczba ich posiadaczy rośnie z każdym dniem.

Pęd do nauki wśród młodzieży wiejskiej jest olbrzymi. Już dziś około 87% młodzieży po ukończeniu 7-klasowej szkoły kontynuuje naukę w różnych zasadniczych, średnich szkołach zawodowych i ogólnokształcących. Na terenie całego kraju na różnych kierunkach studiów na wyższych uczelniach kształci się z naszego województwa ponad 3500 studentów; około 50% studiujących na Akademii Medycznej w Białymstoku pochodzi z terenów naszego województwa. Coraz większa liczba młodzieży wiejskiej powraca na wieś ze średnim, a nawet wyższym wykształceniem.

Są to olbrzymie przemiany rewolucyjne. Jednakże w rozwoju życia kulturalnego wsi nie dotrzymujemy jeszcze kroku innym województwom.

Mimo wysokiego odsetka młodzieży zdobywającej średnie wykształcenie, jest nadal stosunkowo dużo dzieci wiejskich, które nie kończą 7 klas szkoły podstawowej. Na 100 rozpoczynających, 36 nie kończy 7 klas w wieku szkolnym. Pamiętajmy przy tym, że stoimy w przededniu reformy szkolnictwa.

Pewnym bardzo wymownym miernikiem kultury jest nie tylko ilość mydła zużywana przez jednego mieszkańca, ale suma wydatków na alkohol. Przeciętnie w 1961 roku na jednego mieszkańca wsi białostockiej przypadało 337 złotych wydatkowanych na zakup wódki (bez win), natomiast na zakup książek i gazet wydatki na jednego mieszkańca wynosiły 30 złotych. Zestaw tych liczb nasuwa bez wątpienia niewesołe refleksje. Chcę przy tym dodać, że sieć kin stałych i objazdowych jest najniższa w kraju. Działalność tych placówek rozbija się nie tylko o brak lokali, o fatalny stan techniczny kin objazdowych i dróg dojazdowych.

(Dokończenie na str. 3)

1 Maja w 12 domach

WALDEMAR BABINICZ

ZWYCZAJ uczestniczenia w święcie 1 Maja staje się z roku na rok nałogiem. Sami nie wiemy, jak i kiedy się to stało, że już w przeddzień święta słuchamy z niepokojem komunikatów meteorologicznych, na własną rękę obiecujemy znajomym „murowaną" pogodę, zaś od wczesnych godzin rannych już w samo święto niecierpliwimy się, popędzamy domowników, byle prędzej znaleźć się wśród świątecznie nastrojonych tłumów, wsłuchiwać się w gwar ulic, wpadać w ogólny rytm i, jeśli ale śpiewać, to nucić wszystkie znane melsni pierwszomajowe.

I oto w ciągu kilkunastu zaledwie lat 1 Maj święci cały naród, uznał je za swoje, narodowe wielkie święto. Jest ono większe, pełniejsze, na pewno głębsze w treści od świętowanego ongiś uroczyście dnia 3 maja, jest większe i bliższe od wielu innych popularnych świąt.

Jest to święto masowych manifestacji, pochodów, solidarności i energii ludzi pracy, święto jednoczące ludzi uczciwych przeciwko wszelkim formom krzywdy, niesprawiedliwości, ucisku. Jest to święto triumfu klasy robotniczej. Wiemy, że w tym samym dniu wychodzą na ulice niezliczone tłumy we wszystkich krajach świata, że te same hasła rozbrzmiewają na całej kuli ziemskiej.

Czy święto to stało się prywatnym, osobistym świętem obywateli naszym kraju? W jakim stopniu? Jak różni się formą i treścią od innych, tradycyjnych świąt?

Redaktorzy „Kameny" postanowili przeprowadzić na ten temat kilkanaście rozmów z mieszkańcami cztèrech województw. Rozmówców naszych poprosiliśmy, aby porównali kilka przeżytych Pierwszych Maja w różnych okresach swego życia i aby ograniczyli się wyłącznie do osobistych wspomnień, osobistych przeżyć, a nawet, by opowiedzieli nam, jak spędzają ten dzień u siebie, w domu.

Podajemy odpowiedzi bez adiustacji, bez retuszu, ograniczając się jedynie do zrozumiałych — ze względu na brak miejsca — skrótów.

I. K. (robotnica, województwo lubelskie): — Pamiętam dobrze wszystkie święta od 1943 r. Dlatego od tego roku, bo 30 kwietnia 1943 zabrano mi z domu dziecko, chłopca siedemnastoletniego, który już nie powrócił. Rokrocznie wspominamy więc w tym dniu syna stojącego w otoczeniu SS-manów, przeklinamy swastykę, hitlerowców i faszystów na całym świecie. Młodsze rodzeństwo nie pamięta tej chwili. Wszystkie dzieci znikają od lat od samego rana, mają swoje sprawy. Zostaję sama, popłakuję, słuchając przemówień przy radioodbiorniku. O zmierzchu wychodzę na ulicę, staram się zapomnieć, wracam w podniosłym nastroju, ale później robię sobie wyrzuty...

Z. L. (student, województwo białostockie): — Pamiętam ostatnie cztery święta. Spędziłem je bardzo wesoło. Chodziło się od rana, trochę w pochodzie, trochę z koleżankami i kolegami. Wpadałem na obiad do domu, na krótką chwilę, a później bawiłem się świetnie, bez względu na pogodę. Nie, nie pamiętam, abym się w tym dniu martwił.

B. M. (robotnik, Starachowice): — Jestem jeszcze stosunkowo młody. Pamiętam cztery ostatnie lata. Dwa razy dostałem premie. W ubiegłym roku 30 kwietnia był mój ślub, więc sami rozumiecie, że 1 Maja 1961 zawsze będzie dla mnie najważniejszy. Po manifestacji wróciłem natychmiast do domu, było przyjęcie, zabawa, nawet dość huczna. Żona moja wyglądała urocze, moi koledzy prześcigali się w komplementach. Byłem szczęśliwy i co chwila wznosiłem toasty, raz na cześć 1 Maja, to znowu za zdrowie żony. Byłem podwójnym bohaterem dnia: święciłem swoje święto robotnicze i święto rodzinne. W tym roku spodziewam się syna. Może właśnie na 1 Maja. Mogę powiedzieć krótko: 1 Maj przynosi mi osobiste szczęście.

C. Ch. (nauczyciel, Dębica): — W ubiegłym roku myślałem wyłącznie o egzaminach, do których przygotowywałem się z zapałem, obserwując pochody i rozbawione tłumy przez szybę okienną. Niejedną łzę wtedy uroniłem. Litowałem się nad sobą i przyrzekałem solennie, że na przyszły rok, to znaczy w 1962 r., jeśli zdam, będę świętował w dwójnasób. I rzeczywiście. Organizujemy z dwoma kolegami zabawę w deseczkę, z koncertem, tańcami, występami solowymi. Właśnie tak, w prywatnym domu. Wszystko jest przygotowane, ale nie powiem ani słowa więcej, żeby nie zapeszyć. Ile osób? Czternaście. W sam raz: nie za dużo, nie za mało. Prawie rówieśnicy.

D. Sz. (Chełm Lubelski): — Przeżyłem bardzo wiele świąt. Czynnie uczestniczyłem chyba w trzydziestu pięciu. Kilka razy wracałem do domu pokrwawiony, mocno poturbowany przez policję lub bojówki endeckie. Wprowadziłem zwyczaj w domu, że 30 kwietnia opowiadam przy stole o swoich przeżyciach, o tym, jak było dawniej. Być może, że się powtarzam. Czy słuchają uważnie? Tak. Nie wygłaszam kazań, staram się też nie ględzić. Najuważniej słucha mój wnuczek, który zawsze domaga się żeby „dziadzio jeszcze i jeszcze, ale żeby było straszne i żeby dziadzio ich wszystkich położył". 1 Maja wychodzimy zwykle z żoną wieczorem na dłuższy spacer. Jej też opowiadam, w których miejscach było to i owo. Teraz spędza się to Święto spokojnie, bez przelewu krwi, bez pałek. Młodzi bawią się do upadłego. Może trochę i nam, starym, zawdzięczają ten spokój, zabawę. Ale nie myślą o tym.

W. G. (uczennica, Radom): Pamiętam, a jakże doskonale, chyba cztery, może pięć świąt. Fajne. Zawsze się martwię o pogodę, uważam bowiem, że 1 Maja każdy człowiek powinien chodzić bez płaszcza. Niekiedy jednak bywało tak, że wszystkie wysiłki, prasowanie, szycie, sztukowanie, a zwłaszcza staranna fryzura — idą na marne. Mam nadzieję, że w tym roku będzie pogoda. W domu? Nie, nigdy, za nic w świecie. Nudno. Zawsze jest jakaś prywatka. My też pracujemy, więc i nam należy się święto. Profesorowie? Chyba przymykają oczy, zresztą też się ba-

(Dokończenie na str. 5)

Plakat zaprojektował Ryszard Tkaczyk

Uchwała

Międzywojewódzkiej Narady Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych w Lublinie z dnia 29 marca 1962 roku, w sprawie współpracy, koordynacji i rozwoju społecznego ruchu kulturalno-oświatowego na terenie województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego.

ODRODZENIE społecznego ruchu kulturalnego, jego rozwój na terenie województw Polski wschodniej stanowi wielką zdobycz ostatnich lat.

My uczestnicy narady stwierdzamy zarówno w dyskusji plenarnej, jak również w pracach sekcji problemowych, że rozwinięta działalność społeczno-kulturalna stanowi jedną z dźwigni socjalistycznych przeobrażeń społeczeństwa naszych województw.

Dotychczasowy stan i zasięg działanośći towarzystw regionalnych oraz lokalnych, jakkolwiek poważny, nie zaspokaja wszystkich potrzeb poszczególnych środowisk. Wiele jest jeszcze środowisk, w których marazm kulturalny i zastój są sprzyjającym podłożem dla rozwoju sił wstecznych.

W dalszym rozwoju społecznego ruchu kulturalno-oświatowego, okrzepnięciu, umocnieniu i jego wzroście, widzimy poważny środek wydobycia tych środowisk z zacofania, dlatego też podstawową troską władz wojewódzkich Polski wschodniej jest stworzenie coraz bardziej sprzyjających warunków dla rozwijającego się społecznego ruchu kulturalnego, popieranie każdej inicjatywy zmierzającej do kulturalnej aktywizacji środowiska, do wzbogacenia życia społecznego.

Bez rzetelnej pracy i troski ze strony władz partyjnych i państwowych oraz działaczy poszczególnych towarzystw społeczno-kulturalnych nie będzie można wygrać walki o wyższy poziom życia kulturalnego każdej rodziny, każdej wsi i osady.

Dlatego też zawarcie porozumienia o współpracy między województwami: białostockim, kieleckim, lubelskim i rzeszowskim w zakresie rozwoju społecznego ruchu kulturalnego oraz podnoszenie jego poziomu i wzbogacanie nowymi, socjalistycznymi treściami należy uznać za cenną i twórczą inicjatywę.

Uważamy, że wielowiekowe zacofanie gospodarcze, jak również społeczno-kulturalne naszych województw będzie można zlikwidować jedynie poprzez wykorzystanie w pełni wszelkich możliwości materialnych oraz ludzkich, tkwiących w poszczególnych regionach.

Uważamy, że narada powinna stać się podstawą do planowej, systematycznej i szeroko zakrojonej wymiany doświadczeń i kontaktów między 4 województwami — dla wspólnego dobra.

W związku z tym postanawiamy, co następuje:

I. W ZAKRESIE DZIAŁALNOŚCI PROBLEMOWO-ORGANIZACYJNEJ

1. Powołanie Komisji Współpracy Międzywojewódzkiej, złożonej z przedstawicieli 4 województw, w ilości 3 osób z każdego województwa, reprezentujących ruch amatorski, stowarzyszenia regionalne i naukowe oraz organizacje społeczne.

2. Zorganizowanie wymiany doświadczeń i informacji odnoszących się do pracy muzeów, uniwersytetów powszechnych, powiatowych domów kultury i wojewódzkich domów kultury.

3. Zorganizowanie wymiany doświadczeń i informacji o pracy poszczególnych stowarzyszeń i organizacji społecznych.

4. Zorganizowanie seminariów dla działaczy klubów inteligencji wiejskiej 4 województw przy współudziale Związku Młodzieży Wiejskiej i Wojewódzkiej Poradni Kulturalno-Oświatowej.

5. Zainicjowanie badań socjologicznych środowisk rejonów nowo uprzemysłowionych, celem wyciągnięcia praktycznych wniosków dla działalności kulturalno-oświatowej w tych środowiskach.

6. Spowodowanie ściślejszej współpracy organizacji i stowarzyszeń społeczno-kulturalnych z organizacjami pracującymi na wsi (ZMW, kółka rolnicze, OSP, LPŻ, koła gospodyń wiejskich), dla koordynacji działalności kulturalno-oświatowej na wsi.

7. Przygotowanie 2-letniego planu problemowego rozwoju społecznego ruchu kulturalnego dla 4 województw.

8. Spowodowanie włączenia do planu pracy wojewódzkich komisji kultury rad narodowych i komisji koordynacyjnych zagadnień związanych z działalnością i rozwojem społecznego ruchu kulturalnego.

9. Przekazanie postulatów Ministerstwu Kultury i Sztuki w sprawie wyodrębnienia wydziałów kulutry z inspektoratów oświaty w celu usprawnienia i rozszerzenia ich działalności kulturalno-oświatowej.

10. Przekazanie postulatu prezydiom Wojewódzkich Rad Narodowych w Białymstoku, Kielcach, Lublinie i Rzeszowie w sprawie usamodzielnienia i umocnienia wydziałów kultury przez zwiększenie liczby etatów i zabezpieczenie odpowiednich środków materialnych.

II. W ZAKRESIE ROZWOJU SPOŁECZNYCH INICJATYW KULTURALNO-OŚWIATOWYCH:

1. Inicjowanie różnych form pracy mających za zadanie poznanie i kultywowanie postępowej tradycji kultury ludowej oraz prowadzenie badań nad historią regionu. Przekazywanie młodemu pokoleniu rzetelnej informacji o historii i kulturze regionu.

2. Pomaganie w budownictwie czynem społecznym szkół, wiejskich domów kultury, świetlic itp. (opracowanie projektów typowych, odpowiednich do potrzeb danego środowiska).

3. Inicjowanie działalności oświatowej (uniwersytety powszechne dla rodziców, kluby inteligencji, odczyty, spotkania, wystawy itp.).

4. Tworzenie nowych ognisk kulturalno-oświatowych w oparciu o hasło: „Szkoła ogniskiem życia kulturalno-oświatowego na wsi".

5. Organizowanie różnych form pracy kulturalno-artystycznej (kluby, kawiarnie, kluby filmowe, dyskusyjne, zespoły artystyczne itp.).

6. Inicjowanie form racjonalnego wypoczynku i właściwego wykorzystania wolnego czasu (turystyka, sport).

7. Roztoczenie opieki nad małym dzieckiem (dziecińce, przedszkola — przynajmniej sezonowe, ogródki jordanowskie, piaskownice, lodowiska, kąpieliska dziecięce itp.).

8. Zacieśnienie kontaktów miasta ze wsią w ramach tzw. patronatów.

9. Inicjowanie czynów o charakterze cywilizacyjnym.

10. Organizowanie bibliotek regionalnych przy wszystkich wojewódzkich bibliotekach i poradniach kulturalno-oświatowych.

11. Zorganizowanie wspólnych seminariów specjalistycznych.

12. Zorganizowanie działu poradnictwa społeczno-oświatowego przy wojewódzkich domach kultury.

13. Zwiększenie pomocy dla społecznych ognisk muzycznych.

14. Inicjowanie i organizowanie zjazdów wychowanków szkół z danego regionu.

15. Zabezpieczenie w budżetach prezydiów rad narodowych wojewódzkich, powiatowych, miejskich i gromadzkich odpowiednich funduszy na popieranie czynów społecznych w zakresie budownictwa obiektów kulturalnych.

16. Utrzymywanie stałego kontaktu organizacji i placówek społeczno-kulturalnych z ośrodkami naukowymi, zawodowymi, instytucjami artystycznymi oraz środowiskami twórczymi.

17. Zorganizowanie międzywojewódzkiej sceny amatorskiej.

III. W ZAKRESIE BADAŃ ETNOGRAFICZNYCH:

1. Powołanie Międzywojewódzkiej Komisji Koordynacji Badań Etnograficznych.

2. Roztoczenie opieki nad badaczami — amatorami, pracującymi w dziedzinie etnografii (organizowanie dla nich konsultacji i poradnictwa).

3. Zwrócenie baczniejszej niż dotychczas uwagi na badania wsi współczesnej i przemian zachodzących w niej pod wpływem industrializacji.

4. Nawiązanie bliższych kontaktów instytucji naukowych z pracownikami kulturalno-oświatowymi w celu wydobycia znaczenia niektórych, szczególnie cennych elementów kultury ludowej.

5. Zorganizowanie międzywojewódzkiej konferencji przedstawicieli muzeów regionalnych, w celu przedyskutowania profilu muzeów regionalnych, większego powiązania ich z terenem oraz dokumentacji współczesności w tychże muzeach.

6. Przyśpieszenie akcji organizowania wojewódzkich muzeów skansenowskich.

7. Wymienianie doświadczeń i wzajemnej pomocy w zakresie opieki nad twórczością ludową.

8. Zorganizowanie wymiany wystaw etnograficznych i sztuki ludowej między województwami oraz wspólnych wystaw i badań w zakresie tej problematyki.

(Dokończenie na str. 14)

20-lecie PPR na Ziemi Chełmskiej

ZENON KWAŚNIEWSKI

DWADZIEŚCIA lat minęło od chwili powstania Polskiej Partii Robotniczej, tej partii, która w najbardziej tragicznym dla narodu polskiego momencie, w mrocznych latach okupacji, podjęła walkę o narodowe i społeczne wyzwolenie, partii, która wzięła na siebie trud tworzenia Polski Ludowej, pierwszego w tysiącletnich dziejach państwowości polskiej — państwa ludu pracującego. Ziemia Chełmska była jednym z tych regionów Polski, w którym PPR najwcześniej rozwinęła swą działalność, mobilizując szerokie masy społeczeństwa do walki z hitlerowskim okupantem. Pod kierownictwem PPR powstały i rozwinęły na tym terenie swą działalność zbrojne oddziały AL i GL.

W Chełmie wydany został historyczny dokument zwycięstwa myśli politycznej PPR — Manifest Lipcowy PKWN.

Aby przedstawić bogate tradycje walki PPR i jej zbrojnego ramienia oddziałów partyzanckich AL i GL szerokiemu społeczeństwu, Komitet Powiatowy PZPR w Chełmie wydał niedawno okolicznościową jednodniówkę pn. „Ziemia Chełmska".

Zorganizowana z okazji XX rocznicy PPR wystawa, na której zgromadzono szereg dokumentów (ulotki, rezolucje, plakaty, wspomnienia i zdjęcia działaczy itp.) była dowodem żywej działalności PPR na Ziemi Chełmskiej. Na kursach szkolenia partyjnego, 36 uniwersytetach powszechnych, w ponad 200 punktach odczytowych na terenie Chełmszczyzny wygłoszono odczyty i pogadanki o problematyce rocznicowej.

Do pierwszych powiatów na terenie Lubelszczyzny, wobec których hitlerowski okupant zastosował terror, należy Zamość i Chełm. Liczne pacyfikacje, rozstrzeliwanie ludności i formy bestialskich mordów dokonywanych przez hitlerowców doprowadziły do tego, że ludność Ziemi Chełmskiej zaczęła stawiać zbrojny opór najeźdźcy. Do walki z hitlerowcami tworzą się zbrojne oddziały partyzanckie AL i GL. W ogniu tych walk, w okresie szalejącego terroru rodzi się wiara w zwycięstwo i przeświadczenie o potrzebie stworzenia jednej silnej organizacji, reprezentującej lud pracujący i prowadzącej ten lud do zwycięstwa.

Jeszcze w 1941 r. byli członkowie KPP Władysław Kowalczyk, Leon Demczuk i kilkunastu innych zorganizowało oddział pn.: „Czerwona Partyzantka", który działał na terenie Chełma oraz gmin: Krzywiczki, Olchowiec, Wojsławice i Żmudź. W 1942 r. „Czerwona Partyzantka" rozszerzyła swą działalność na cały powiat chełmski. Skupiała ona blisko 200 członków, wydawała własną gazetkę, rozrzucała antyniemieckie ulotki, prowadząc jednocześnie zbrojną walkę przeciw hitlerowcom.

W styczniu 1942 r. zrodziła się w polskim podziemiu Polska Partia Robotnicza, która jako czołowe zadanie przyjęła hasło bezwzględnej walki z Niemcami. Dokładny program tej walki znalazł swoje odbicie w Deklaracji Programowej wydanej w formie broszury w listopadzie 1943 r. i tajnie kolportowanej na teren całego kraju. W lutym 1943 r. Konstanty Krassowski i Aleksander Pilipczuk zorganizowali w Chełmie Powiatowy Komitet PPR, który objął swym zasięgiem cały powiat. Działalność PPR od chwili jej powstania była w powiecie chełmskim nadzwyczaj ożywiona i aktywna. Ześrodkowała ona swoje siły na terenie gminy Rakołupy w okolicach wsi Janówek i Leśniowice. Ziemia pokryta tu i ówdzie resztkami dawnych borów, poorana głębokimi debrami w różnych kierunkach, stwarzała doskonałe warunki do ukrycia i napadu oddziałom partyzanckim. Jednym z pierwszych dowódców działającej w tej okolicy partyzantki był Konstanty Mastelarz.

Oddziałami zbrojnymi PPR były silne grupy Armii Ludowej i Gwardii Ludowej. Na terenie całej Lubelszczyzny oddziały te pod koniec 1943 r. skupiały ponad 20 tysięcy partyzantów. W

Dokończenie na str. 14)

KULTURA HISTORIA RZECZYWISTOŚĆ

(Dokończenie ze str. 1)

Podstawowym ogniwem działalności kulturalnej na wsi jest szkoła. Hasło — „Szkoła ogniskiem życia kulturalnego" nabiera u nas szczególnego znaczenia.

Wprowadzając do programu działalności „ogniska" tradycyjne formy pracy masowo-kulturalnej, jak zespoły taneczne, chóralne, muzyczne, recytatorskie, rozrywkowe, świetlicowe, czy też poszczególne dyscypliny sportu — musimy uwzględnić szerzej niż dotychczas, jeśli to tylko możliwe, środki techniczne dla upowszechnienia kultury.

Popierając ruch amatorski w tradycyjnych formach, kierujemy się właśnie ideą wskrzeszania i podtrzymywania ludowych tradycji, tradycji zbiorowego życia kulturalnego, kolektywnej pracy wychowawczej. Dużą rolę do odegrania mają tu organizacje młodzieżowe, nasze Powiatowe Domy Kultury. Domy Kultury nie powinny czekać, aż ktoś z zespołu zgłosi się po taką czy inną „sztuczkę", muszą one dbać o prawidłowy rozwój zespołów. Jak dotychczas, te ogniwa, które powinny być rozsadnikami różnorodnych form działalności kulturalnej, ciągle nie mogą uporać się z własnym wąsko-miejskim podwórzem.

Sądzimy, że w najbliższym czasie obrady sejmików kultury w powiatach pokażą własne fakty kulturalne i dopracują się koncepcji ich nasilenia. Sejmiki zajmą się oceną pracy regionalnych towarzystw i dokonają wyboru delegatów na Wojewódzki Zjazd Towarzystwa Miłośników Ziemi Białostockiej.

W rozwoju życia kulturalnego niepoślednią rolę odgrywa samo miasto Białystok. Ten główny ośrodek życia kulturalnego w województwie ma również swoje charakterystyczne odrębności. Dotychczas główne inwestycje (poza Zambrowem) lokalizowano w Białymstoku. Samo miasto jest miastem młodym i w zasadzie od podstaw odrodzone zostało przez naszą władzę ludową. Dawni mieszkańcy stanowią tu zaledwie ok. 1/5 ludności. Pozostałe 4/5 — to ludzie przybyli głównie z różnych wiejskich zakątków Białostocczyzny.

Napływowa ludność miejska szczególnie w pierwszym okresie związana była ze sposobem myślenia i konserwatywnymi naleciałościami, jakie wyniosła ze swojego środowiska. Z jednej strony nowoczesne bloki mieszkalne, centralne ogrzewanie, kanalizacja, z drugiej strony chęć utrzymania prosiaka w skleconych ruderach, czy kur bodaj w łazience.

Sam kierunek rozwojowy przemysłu w Białymstoku rodził pewne trudności społeczne. Rozwijał się tu głównie przemysł włókienniczy, który dawał zatrudnienie przede wszystkim kobietom.

Niewielu chłopców po ukończeniu szkół zawodowych znajdowało zatrudnienie w budownictwie, a częściowo w przemyśle metalowym, większość natomiast podejmowała pracę poza terenem województwa.

Jednokierunkowość rozwoju odbiła się ujemnie na stosunkach demograficznych i wpłynęła na ich dysharmonijne kształtowanie się. Obecnie sytuacja ulegnie radykalnej zmianie, a w najbliższej przyszłości dzięki prawie miliardowej inwestycji na budowę Fabryki Aparatury Chemicznej — tempo tych przemian zostanie zdwojone.

Białostocka klasa robotnicza jest młoda zarówno pod względem swojego stażu socjalnego, jak i wieku. Wystarczy zwrócić uwagę, że w podstawowych zakładach włókienniczych przeciętny wiek zatrudnionych sięga 24—25 lat, przy tym kobiety w stosunku do ogólnej liczby zatrudnionych stanowią około 70%. Sam proces kształtowania się klasy robotniczej odbywał się przy olbrzymich kontrastach. Z jednej strony nowoczesna technika, konieczność zatem podnoszenia wiedzy ogólnej, a z drugiej — niejednakowy stosunek do środków produkcji, traktowanie (przynajmniej przez część) pracy w zakładzie jako dodatkowego źródła utrzymania, duże zróżnicowanie w wyszkoleniu ogólnym.

Powstaje problem, jak tą młodą klasę robotniczą nie tylko kształcić zawodowo, ale jakimi sposobami i przez kogo rozwijać jej horyzonty światopoglądowe i podnosić poziom kulturalny. Jest starą prawdą, że człowiek pracuje tym wydatniej, sprawniej, im głębiej jest wdrażany w dorobek wiedzy ogólnoludzkiej, współczesnej problematyki politycznej, ideologicznej, im głębsze i bardziej zespolone jest działanie wszystkich czynników tworzących wyższą moralność — moralność socjalistyczną. Tego zadania nie da się wykonać li tylko proporczykami przy warsztatach, czy też liczebnością różnych odczytów. Ten, kto chce skutecznie kształtować wyższą moralność, musi się zbliżyć do percepcyjnych możliwości masowych odbiorców kultury, stopniować z nimi pracę wychowawczą, mieć systematyczny program działania w tym środowisku.

Przy tym pobieżnym przeglądzie procesu kształcenia się młodej klasy robotniczej nie trzeba zapominać, że i białostocka grupa działaczy kultury jest grupą młodą.

Zapotrzebowanie na kadry o wyższym wykształceniu humanistycznym jest prawie takie samo, jak na ludzi z wykształceniem technicznym. Białystok po wojnie zyskał wyższą uczelnię typu przyrodniczego oraz technicznego. Dalszy rozwój Białegostoku i województwa jest skazany na jednostronność, jeśli w najbliższym czasie nie podejmie się niezbędnych poczynań dla powołania wyższej uczelni typu humanistycznego.

Bardzo dobrze się stało, że w br. nareszcie powstał miejscowy oddział Związku Plastyków Polskich oraz koło literackie. Koło literackie postawiło sobie ambitny cel — pomóc młodym początkującym pisarzom w opanowaniu tajników rzemiosła. Program zakłada systematyczne spotkania ze znanymi pisarzami, krytykami literackimi, historykami literatury itp. Spod pióra miejscowych pisarzy w bieżącym roku wyjdzie kilka dość ciekawych pozycji beletrystycznych; przeważają wśród nich opisy faktów historycznych w zbeletryzowanej formie, mówiące o postępowych rewolucyjnych tradycjach Białostocczyzny z okresu międzywojennego, o ruchu oporu w okresie hitlerowskiej okupacji.

Dla zsynchronizowania prac badawczych w różnych dyscyplinach naukowych powstaje Białostockie Towarzystwo Naukowe. Założycielski zjazd tego Towarzystwa odbył się w miesiącu kwietniu.

Powstanie koła literackiego, organizacja Białostockiego Towarzystwa Naukowego i Oddziału Związku Plastyków wiąże się ściśle z intencjami pełnego ożywienia działalności Towarzystwa Miłośników Ziemi Białostockiej.

By spopularyzować historię najnowszą, przystąpiono do organizacji Muzeum Ruchu Rewolucyjnego Białostocczyzny. Muzeum to będzie jak gdyby kontynuacją działu historycznego Regionalnego Muzeum w Białymstoku. Scenariusz i ekspozycje muzealne będą obejmowały okres od powstania styczniowego do czasów obecnych.

Nie będę mówił o zaawansowaniu prac związanych z budową Średniej Szkoły Muzycznej, czy też lalkowego teatru „Świerszcz". Chcę jednak zatrzymać się nad niebezpieczeństwem, które zawisło nad terminem oddania do użytku telewizyjnej stacji przekaźnikowej. Społeczeństwo Białostocczyzny z nawiązką wypełniło swe zobowiązania dotyczące wkładu finansowego oraz wykonania robót budowlano-montażowych. Mieliśmy pierwsi po Lublinie uzyskać aparaturę przekaźnikową. Dzieją się jednak rzeczy niebywałe. Organa centralne, kierując się nie wiadomo jakimi racjami, mówią teraz o instalacji aparatury przekaźnikowej w Krakowie, w Rzeszowie, a nie w Białymstoku. Nie wiem czy na podstawie tego faktu należy sądzić, iż polityka inwestycyjna w dziedzinie obiektów kulturalnych prowadzona przez niektóre resorty centralne wynika z uwzględnienia hierarchii potrzeb, czy też z określonych pozycji patronalnych nad takim bądź innym województwem (tak widzą to w Białymstoku). Co oznacza w warunkach Białostocczyzny zasięg działania telewizji dla rozwoju życia masowo-kulturalnego, chyba nie trzeba wyjaśniać.

Mgr Eugeniusz Ciuruś
sekretarz KW PZPR
w Białymstoku

Z księgi pamiątkowej

Będę chyba wyrazicielem całego społeczeństwa lubelskiego, jeśli wyrażę gorące podziękowanie Trzem Autorom za udostępnienie oraz organizatorom wystawy za przypomnienie i pokazanie dorobku artystycznego ludzi tak znanych i zasłużonych dla naszej kultury, jakimi są artyści: pp. Dylewski Stefan, Westfal Karol i Wiercieński Henryk.

Dobrze się stało, że rok bieżący — ogłoszony jako rok kultury plastycznej — został zainaugurowany w Lublinie wystawą lubelskich seniorów malarstwa, osób, które tak, jak artyści: Boguski Henryk, Kurzątkowski Juliusz, Świezy Janusz, Wiktor Ziółkowski, Karmański Jan, Dremont Adam, K. Kietlicz-Rayski, Miłosiowa Janina i inni związali się z naszym regionem, nie tylko swoją twórczością, ale przebogatą działalnością na polu upowszechnienia sztuk plastycznych. Związani oni byli zawsze z każdym zjawiskiem artystycznym na naszym terenie.

Toteż obecna wystawa i zainteresowanie nią jest wyrazem uznania lubelskiego środowiska dla tych, którzy byli zawsze i są nadal piewcami piękna w ogóle i Ziemi Lubelskiej — w szczególności.

Obrazy zgromadzone na wystawie są plonem ich wieloletniej twórczości, stanowią żywe świadectwo Ich niestrudzonej pracy, talentu i artyzmu. Wszyscy oni reprezentują malarstwo czytelne, o nieprzemijających wartościach indywidualnych każdego twórcy. Piękno wystawionych prac jest nadal żywe i cenione przez najszersze kręgi społeczeństwa.

Wystawą tą dokumentujemy też prawo do posiadania własnego środowiska artystycznego, reprezentowanego również dziś przez nowych twórców, nowe nazwiska i nowe talenty. Popieranie tego środowiska jest ambicją całego lubelskiego społeczeństwa.

*Pragnę więc wyrazić głębokie uznanie autorom wystawy za ich wieloletni twórczy wkład w kulturę naszego województwa. PP. Westfalowi, Wiercieńskiemu i Dylewskiemu wyrażam podziękowanie za działalność społeczno-pedagogiczną *).*

PAWEŁ DĄBEK

***) Księga wystawowa z oryginałem powyższej wypowiedzi przewodniczącego PWRN w Lublinie mgr Pawła Dąbka znajduje się w Biurze Wystaw Artystycznych (Lublin, Narutowicza 4). — Red.**

Fragment jednej z sal Centralnego Biura Wystaw Artystycznych w Lublinie

MARCELI NOWOTKO

W miesiącu maju br. w Łapach, w województwie białostockim, nastąpi odsłonięcie pomnika wzniesionego niezłomnemu bojownikowi klasy robotniczej, jednemu z założycieli i pierwszych sekretarzy generalnych PPR, Marcelemu Nowotce.

W szeregi rewolucyjnego ruchu robotniczego Marceli Nowotko wstąpił jeszcze na początku pierwszej wojny światowej.

Jako syn robotnika rolnego wcześnie poznał, w czym tkwi przyczyna wyzysku i nieprawości, z ogromnym zapałem oddał wszystkie swe siły walce z burżuazją. Na wszystkich frontach klasowych walk, wszędzie tam, gdzie toczono z nią bój, był Marceli Nowotko. Pamiętają go mieszkańcy Białostocczyzny z pracy w Komitecie Rewolucyjnym w Łapach, w 1920 r. Pamiętają jako deputowanego do Okręgowej Rady Wykonawczej w Białymstoku, a następnie przewodniczącego Rejonowej Rady Wykonawczej w Łapach.

Swoją bezkompromisową postawą rewolucjonisty, rozbrajającą wprost szczerością i prostotą w podejściu do ludzi zyskał sobie Marceli Nowotko serca wszystkich tych, wśród których przebywał. Wyszedł z prostego ludu, jemu służył, zyskał więc jego zaufanie i wdzięczność.

M. G.

GRIGORIJ PIETNIKOW

Pieśń

Z NOWYCH PRZEKŁADÓW KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

Przemija dzień, przemija rok, przemija człowiek
I mocniej się do siebie tulą
Dwóch jabłek na gałęziach mięśni kule.
Z zaułka wozów stuk uszyma łowię,
Skroś obłok końskie się kołyszą pyski.

Zatacza krąg nad biodrem pagórka spadzistym
Lud ucztujących wron i kawek
I tajemnicze wojsko świerszczy
Jak struny dźwięk przez owies leci.

Przez lasy łoskot się przewala srogo,
Brat wiatrów nie poznany przez nikogo.

A mnie ogarnia wskroś uczucie takie,
Że ja, jesiennej uczty świadek,
Jak wozów stuk, jak ptak, jak wiatr w dąbrowie
Oddycham też, zbratany z światem.

Przemija dzień i rok, i — człowiek.

OCZY na wschód

(Refleksje po sesji Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej).

JERZY GOLIŃSKI

5 i 6 kwietnia br. odbyła się w Lublinie sesja wyjazdowa Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Nie pierwsza tego rodzaju inicjatywa dziennikarska i zapewne nie ostatnia. Klub Publicystów Polityki Kulturalnej organizował już takie sesje w Poznaniu i Szczecinie, Legnicy i Rzeszowie, Wrocławiu i Krakowie. Przynosiły one różne rezultaty: zależało wiele od przygotowania, od dyskusji, od frekwencji, od doświadczenia organizatorów wreszcie. I niezmiennie w dyskusji (podobnie zresztą, jak i w czasie dyskusji w Lublinie) dawały się słyszeć głosy zarzucające sesji wszystkoizm, podkreślające konieczność koncentracji na jednym wybranym zagadnieniu, wreszcie podważające celowość tego rodzaju imprez, bo co one dają?

Oczywiście — dziennikarze nie mają żadnej mocy wykonawczej, nie są w stanie niczego zmienić, nie będą zastępować władz terenowych, nikt ich zresztą do tego nie upoważnił. I nie jest rzeczą publicystów dawanie gotowych recept, które mogłyby doprowadzić do radykalnej poprawy sytuacji. Mają rację malkontenci pytający po dwudniowych dyskusjach: no i co z tego? Nie zdają sobie jednak sprawy z dobrze pojętego obowiązku dziennikarskiego: kluby twórcze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, biorąc na warsztat swoich obrad i dyskusji jakiś teren czy jakiś temat, spełniają swój podstawowy obowiązek, interesując tym terenem czy tym tematem dziennikarzy przybyłych z różnych stron kraju i reprezentujących różną prasę, radio czy telewizję. Stąd każda sesja wyjazdowa jest w gruncie rzeczy rekonesansem tematycznym, tym skuteczniejszym, że dającym zarazem bogatą skalę porównawczą, ułatwiającym ogólną orientację. Dziennikarz nie wyjeżdża z sesji z gotowym materiałem, z notesem wypełnionym wszelkiego rodzaju notatkami; sesja natomiast orientuje go w problematyce terenu. Teraz ma już oczy otwarte i zielone światło dla własnych poszukiwań. Ziarno zostało rzucone: reszta należy do samych dziennikarzy, do każdego z nich oddzielnie.

Nie bez znaczenia są również takie zloty dziennikarskie dla samego środowiska. Spełniają one w dużej mierze rolę mobilizującą: jest to bowiem w gruncie rzeczy wizyta nieco inspekcyjna, zaznajomienie opinii całego kraju ze sprawami czasami — bywa i tak — wstydliwymi, wewnętrznymi, zastałymi. Takie otwarcie okien dobrze robi: nie można nie doceniać roli opinii publicznej. Jest to presja na sprawców zła, bodziec dla prasy lokalnej, zainteresowanie problemami terenu władz centralnych. Kierunki wypadów dobierane są zazwyczaj starannie: chodzi o to, aby dane środowisko było reprezentatywne i charakterystyczne dla jakiegoś problemu, dla któregoś z wybranych zagadnień. W Poznaniu staraliśmy się rozgryźć problem pewnych starć i rozgrywek środowiska twórczego tego miasta i tej części kraju, pewnego konserwatyzmu odbiorców z jednej strony, a nowatorskich tendencji środowisk twórczych z drugiej. Różnie można ocenić celowość tej pierwszej sesji wyjazdowej, faktem jest, że od niej datuje się długa i brzemienna w skutki dyskusja w samym środowisku poznańskim, która w jakiejś mierze przyczyniła się do uzdrowienia sytuacji w tamtejszych teatrach, w tamtejszym środowisku literackim, która wreszcie spowodowała przesunięcia w samych władzach kulturalnych stolicy Wielkopolski, czy szczęśliwe, pokaże przyszłość. Podobny charakter miała sesja w Szczecinie, dosyć starannie przygotowana przez tamtejszy oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, aczkolwiek zlekceważona przez samych twórców szczecińskich. Bogaty materiał prasowy przyniosła sesja w stolicy polskiej miedzi — w Legnicy. Pod Legnicą powstaje duże osiedle robotnicze — Lubin, w Legnicy koncentruje się wiele typowych dla Nowej Huty i Turoszowa, Płocka i Nowych Tych problemów. Dzięki zainteresowaniu gospodarzy dziennikarze — tym razem specjaliści od problemów nie tylko kulturalnych, ale i ekonomicznych — mieli możność zapoznać się z pasjonującymi zagadnieniami tego najpierw zaskorupiałego, umierającego, a następnie nagle rozwijającego się miasta: co za materiał dla socjologów, dla historyków, dla działaczy kulturalnych i społecznych! W Rzeszowie, w czasie obrad w pięknym pałacu w Łańcucie, a następnie w czasie objazdu Rzeszowszczyzny, mieli publicyści możność konfrontacji swoich wyobrażeń z zastanym obrazem dawnej Polski „B": i ta sesja również przyniosła wiele materiału prasowego. Wrocław dał nam pogląd na problematykę Ziem Zachodnich, Kraków wreszcie i wyprawa do uniwersytetu ludowego w Wierzchosławicach zaznajomiła ich z problematyką oświaty i kultury na wsi podkrakowskiej. W ten sposób coraz wyraźniej przed pilnymi uczestnikami wszystkich sesji zarysowywał się obraz mapy kulturalnej całego niemal kraju, utworzony na podstawie ośrodków najbardziej charakterystycznych: sesję lubelską musimy uważać za najbardziej udaną.

Była ona udana nie tylko pod względem organizacyjnym, nie tylko pod względem doskonale przygotowanych referatów red. red. A. Jakubiszyn-Tatarkiewicz i Leszka Gzelli, ale również pod względem frekwencji, zainteresowania dziennikarzy, a także zainteresowania — co należy szczególnie podkreślić — przedstawicieli władz lubelskich w osobach przewodniczącego Prezydium WRN tow. Dąbka i sekretarza KW PZPR tow. Zgrzywy. Wiele ciekawego materiału przyniosła nie tylko dyskusja, ale i bezpośrednia konfrontacja tez, które w dyskusji poruszono, z przejawami życia kulturalnego miasta i województwa: udział uczestników sesji w pokazie form pracy Domu Kultury na lubelskim Zamku, w wieczorze klubu studenckiego „Dren", a nade wszystko objazd województwa, ciekawe spotkanie w Puławach, rozmowy z przedstawicielami terenowych władz i z działaczami kulturalnymi terenu.

Zainteresowanie Lublinem nie jest rzeczą przypadku. Niedawno inny klub Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Klub Krytyki Teatralnej, zorganizował właśnie w Lublinie podobną sesję wyjazdową dla swoich członków, połączoną z przeglądem kilku sztuk lubelskiego teatru. Że była ta sesja również wynikiem pewnych zjawisk kulturalnych, zachodzących na horyzoncie Lublina i dobrze świadczących o jego aktualnej randze kulturalnej — świadczy fakt pełnych sukcesu spektakli tego teatru na gościnnych występach w Warszawie, sukcesu potwierdzonego zresztą bardzo pozytywnymi głosami krytyki. Tuż przed sesją Klubu Polityki Kulturalnej odbyła się w Lublinie międzywojewódzka narada stowarzyszeń kulturalno-społecznych, pierwsza zresztą tego rodzaju narada od dwu lat, zapoczątkowująca podobne konferencje w innych województwach i otwierająca przed tym ruchem nowe perspektywy. I znowu wybór Lublina na siedzibę tej narady nie był bez kozery. Można zresztą podobnych faktów wymieniać znacznie więcej.

Czy ten renesans kulturalny Lublina jest równoległy do wszystkich posunięć? Na pewno nie. Na pewno planowanych jest wiele niezbyt przemyślanych decyzji, wynikających zresztą z archaicznych już i mocno nieaktualnych poglądów na rangę tego miasta, przeżywającego po sztucznym ożywieniu w roku Dziesięciolecia Polski Ludowej okres silnej apatii i swoistej, kulturalnej przede wszystkim, degresji. Okres ten — wiele jest znaków na ziemi i niebie, o tym świadczących — ma się na szczęście ku końcowi.

Na sesji wyjazdowej Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej nie było tradycyjnego podsumowania dyskusji. Organizatorzy nie uważali, aby takie podsumowanie było potrzebne. Podsumowywać dyskusję może ktoś, kto upoważniony jest do stawiania wniosków lub wręcz do ich rozwiązywania. Podsumowanie dyskusji w środowisku dziennikarskim, w środowisku działaczy społecznych i kulturalnych jest jawnym nonsensem, albowiem dyskusja nie jest prowadzona po to, aby doraźnie rozwiązywać pewne problemy, ale aby je sygnalizować i alarmować nimi opinię publiczną, a nawet odpowiednie władze. Niemniej pewny dystans czasu pozwala na doraźną próbę, jeśli nie podsumowania, to przynajmniej zbilansowania dyskusji. I wdzięczni jesteśmy „Kamenie", że — żywo zresztą zainteresowana przebiegiem całej sesji — udzieliła nam w tym celu swoich łamów.

Rangi kulturalnej Lublina nie wyznacza tutejszy teatr, ani uniwersytet, ani Akademia Medyczna, ani KUL. Nie wyznacza jej taka czy inna ilość instytucji kulturalnych. Wyznacza ją aktualna sytuacja kulturalna kraju, sytuacja socjalna, wzmożenie powszechnego wysiłku dla odrobienia pewnych kulturalnych dysproporcji. Nie jest rzeczą przypadku — znowu rozmyślnie używam tego określenia — że na lubelską sesję, po raz zresztą pierwszy, ale chyba nie ostatni — do dziennikarzy przyłączyła się grupa słuchaczy Wyższej Szkoły Nauk Społecznych z Warszawy. Nie jest rzeczą przypadku, że następna z kolei sesja Klubu odbędzie się w Kielcach. Barometr zainteresowań działaczy kulturalnych, zainteresowań prasy przesuwa się na wschód i na centrum kraju. Paradoksem jest, że jeszcze dwa — trzy lata temu ustanawiano patronaty miast i województw centralnych nad województwami zachodnimi: była to deklaracja pomocy — wybaczcie te słowa, przyjaciele lubelscy — biednego krewnego dla nowobogackich. Powinno być odwrotnie. Niczyja w tym zresztą wina — nierówny jest potencjał gospodarczy wymienionych rejonów, a on decyduje, nierówna jest baza i zaplecze kulturalne, a ono również decyduje. Nierówne było zresztą do tej pory zainteresowanie i władz centralnych, i opinii publicznej, a ono decyduje przede wszystkim. Ale w każdym zrównoważonym kraju, o planowej polityce kulturalnej, musi działać prawo naczyń połączonych. W tym między innymi celu powołany został lat temu dziesięć do życia Klub Publicystów Polityki Kulturalnej. I w tym kierunku idzie działalność tego Klubu od lat dziesięciu.

Sami działacze kulturalni i publicyści lubelscy nie szczędzili zresztą swemu środowisku gorzkich słów. Rola środowisk twórczych w życiu kulturalnym województwa? Temat sesji absolutnie nie wyczerpywał zagadnienia, czego przykładem była sama dyskusja. Wykazała ona zastanawiający brak powiązania środowiska naukowego Lublina — mocnego zresztą i tradycyjnego środowiska — z środowiskiem kulturotwórczym. Jest to zresztą zjawisko nowe, nie mające na tym terenie historycznych precedensów, a tradycje naukowo-kulturalne ma Lublin świetne. Wykazała dalej dyskusja niepokojące zamknięcie się we własnej orbicie środowisk in-

(Dokończenie na str. 11)

Dwie burze

Minęła burza. Cisza wszędzie.
Powietrze całkiem przezroczyste,
Czarodziejskiego szkła krawędzie
Zabarwią już inaczej wszystko.

Nim jeszcze wić nie odbłysnęła
Paciorków deszczu co się mienią,
Płoń,
aby one w nią się wpięły
Na zawsze,
w oczach mych jaśniejąc.

Tak zakochanych w zórz poczęciu,
Gdyśmy na piersiach ziemi stali
We dwoje z tobą skrzydłem tknięci
Strzyżyka, który mignął w dali.

I w mgle wieczornej do płomyków,
Do twoich się pochylę oczu,
I oto w ciepłych rąk dotyku
Wyczuję — druga burza kroczy.

Lecz ta... jest w strefie rezerwatu
I wiersze — bilet wstępu do niej,
Arkusz bezsennych nocy masz tu
I sam je opisz na tej stronie.

1960

Do Redakcji „Kameny"

Nieraz miłośnie i tęsknie wspominam Lublin — jedno z najpiękniejszych i najkulturalniejszych miast Polski.

Moja młodzieńcza miłość do Lublina, która zrodziła się w roku 1915, osiągnęła pełnię po czterdziestu sześciu latach, w czasie mego zeszłorocznego pobytu w Lublinie.

Cieszy mnie bardzo, że w „Kamenie" po raz pierwszy ukazał się przed laty fragment mej książki, przełożonej z talentem przez zasłużonego pisarza Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

Niebawem zakwitną lubelskie bzy. Chciałbym być o tej porze w Lublinie!

Pragnę przynajmniej przesłać za pośrednictwem „Kameny" najlepsze życzenia Czytelnikom lubelskim, pragnę pozdrowić jak najserdeczniej Szanownego Wojewodę lubelskiego Pawła Dąbka, gościnnego gospodarza, oraz pisarzy: Marię Bechczyc-Rudnicką, Kazimierza Jaworskiego, Gralewskiego i Mikulskiego, których poznałem osobiście również w Lublinie.

(-) K. PAUSTOWSKI

W jednym z najbliższych numerów „Kameny" zamieścimy reportaż Marii Bechczyc-Rudnickiej z Domu Pisarzy Radzieckich w Jalcie, gdzie autorka spotkała się ponownie z Konstantym Paustowskim w kwietniu br. — Redakcja.

Z POEZJI GRUZIŃSKIEJ

MICHA KWLIWIDZE

Wiosna

Jaskółczych lotów migotanie
I dali przezroczystej tło.
Gdyby pod niebo cisnąć kamień,
Odpowie dźwięcznym brzękiem szkło.

Obłoki bielą się jaskrawo
Jak ośnieżone szczyty gór,
Na ziemię spływa świst i wrzawa —
Pogodę śpiewa ptasi chór.

I znowu jak w czterdziestym piątym
Spotykam wiosnę tak wzruszony,
Jakbym zobaczył brata, który
Z wojny powrócił w nasze strony.

Z listu

Przez zarośla majowe o brzasku
Do brzóz szedłem w zielonych dymach.
Przyjdź, miła!
Na brzozy w tym lasku
Chcę popatrzeć twoimi oczyma.

Przełożył Jerzy Pleśniarowicz

MICHA KWLIWIDZE — to jeden z czołowych poetów Gruzji średniego pokolenia (ur. w 1925 roku w Tbilisi). Ukończył wydział filozoficzny Uniwersytetu w Tbilisi oraz Akademię Sztuk Pięknych (grafika). Pierwszy zbiór poezji ogłosił w 1952 roku („Echo w górach"), następnie wydał: „Bez tytułu", „Akwarele", „Pożegnanie z młodością". Utwory Kwliwidze znalazły się w niedawno wydanej po polsku antologii poezji gruzińskiej.

ALICJA JĘDRZEJEWSKA

W sierpniu

W sierpniu przychodzisz
z jabłkiem w kieszeni
zakochany w fiolecie
wrzosowych gałązek.

Czasem siadamy
w cieniu zmęczonego dnia
i siatką na motyle
łowimy świerszczowe grania.

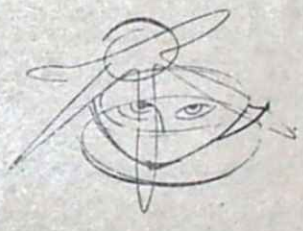

STEFAN WOLSKI

Czarny

Jesteś czarny...
I noc...
A ja nocy znajomych nie znałem.
Do ostatniego smaku nie rozgryzłem ziaren
— bezksiężycowych, zimnych, niegwiezdnych.

Ileż przesunęło się...
przez łóżka, sofy, leżanki,
przez światła złamaną arię
jednym skrętem palców;
za zegarem toczącym godziny
i w pośpiechu kroków,
gdy ulica zamknęła już oczy...

Przed ukazaną w nagości i prawdzie,
nagle
osłupiały,
zaskoczony
i niemy...

A była tylko sobą.

Dzień nauczony poznawać jasnością,
żegnać bielmem wieczorów,
nie dotknąłem ciała jej nigdy,
choć w jej ramionach,
na jej ciepłej piersi.

I oto nie widziana,
nie przeczytana,
jakby nie rozcięta...

Więc jest warsztatem do porannych wydań...
jezdnia dla wielkich transportów,
zmiana w kopalni, i sieci rybaka,
a także
pociecha poetów i mędrców,
uległa, miękka i skromna,
od cichości lśniąca i czysta.

Jej nagi akt ze źrenicą wpatrzoną we mnie
aksamitną
i czarną,
oczekujący...

W gęstej głuszy przedwieków
moi biali przodkowie
skowytali w skurczu miłości,
i wyjąc nad śmiercią,
wynaleźli żałość i łzy.

Jaka to ręka założyła kaganiec,
zatrzasnęła obrożę...
tobie, mój czarny bracie,
moja siostro,
z oczu wyłupili czas przyszły.

Teraz biegnącym razem,
gdy dłoni twej nie wypuszczę z dłoni,
pochodnia,
reflektor i neon,
aż po rachunek lotów kosmicznych.

1 MAJA W 12 DOMACH

(Dokończenie ze str. 1)

wią. Najweselej było w sześćdziesiątym. Byłam pewna promocji, poprzedniego dnia dostałam z matmy bede, mama uszyła mi sukienkę-marzenie. Niestety, w tym roku już za krótka i za ciasna. Coś się przerobi. Że co? Bardzo kocham swoje miasto, zawsze chcę tu mieszkać. Nawet w domu mówią, że nigdzie tak nie ma, jak w Radomiu...

J. Ż. (rzemieślnik, Lublin): — Mamy w domu pamiątkowy obraz. Nie wiemy, co on właściwie przedstawia. Jakąś demonstrację uliczną, może walkę. Ojciec nieboszczyk twierdził, że to 1 Maja i że obraz był malowany „na żywca", z narażeniem życia. Zawsze wieszamy ten obraz 30 kwietnia na widocznym miejscu, a dzieci oglądają go z dużym zainteresowaniem i ciągle odnajdują nowe szczegóły. Pod tym obrazem ustawiamy stół, żona przygotowuje uroczystą kolację. U mnie musi być porządek. Wszyscy są, nawet najstarszy syn. Dopiero po kolacji mogą sobie iść na potańcówki. Tak, pijemy, najczęściej wino. W tym roku zafundowaliśmy sobie na 1 Maja świetny radioodbiornik. Nowy, o nowoczesnym kształcie, wszystkim szalenie się podoba.

A. M. (majster, Kielce): — Pamięta się różne święta. Jaka różnica, w domu czy na ulicy? Święto jest jedno dla wszystkich. Nie mogę narzekać, mam pociechę z dzieci, chowają się dobrze, uczą się, przynoszą dobre stopnie. Czy lepiej niż dawniej? Było nas czterech braci, ja jeden tylko doczekałem wolności. Wystarczy? Atmosfera w domu? Panie, jak w domu są dzieci, to człowiek sam dziecinnieje. Kupiliśmy telewizor. Na raty. Ale nam jeszcze nie założyli. I teraz, jak wracam z pracy, myślę tylko o jednym: stoi czy nie stoi, jest antena na dachu czy nie? Przyrzekł mi jeden mechanik, że na 1 Maja mur-beton. Aż się wstydzę, że tak o tym telewizorze myślę. Stary przecież jestem. Prawie pięćdziesiąt lat. Zawsze sprawiamy dzieciom coś na to święto. Taki już zwyczaj. Trudno, bo trudno, ale bodaj jakąś bluzeczkę, pantofle, pończoszki, czasami książkę. Mam znajomego księgarza, wybiera zawsze do rzeczy, czytamy kolejno wszyscy. Wieczorem córka śpiewa, a syn akompaniuje na akordeonie. Córka ma piękny głos. Później rozchodzą się wszyscy, zostajemy z żoną. Spokojnie. A w tym roku, jeśli mechanik nie nawali, będziemy przy własnym telewizorze.

B. I. (pracownik umysłowy, Białystok): — Już trzeci rok wyjeżdżamy zaraz po uroczystościach na wycieczkę. Mam motor z przyczepą. Funkcjonuje bez zarzutu. Zabieramy z domu prowianty. Jeśli będzie ciepło, przygrzejemy po drodze przy ognisku. Świetny odpoczynek. Wracamy z dziećmi w doskonałych humorach. Mam płytotekę, gramy do późnego wieczoru aż do chwili, kiedy śledziennik — sąsiad nie zacznie się irytować.

Cz. L. (technik, Rzeszów): — Przemalowałem własnoręcznie mieszkanie. Wydaje mi się, że jest u nas naprawdę teraz ładnie. Będziemy mieli gości. Może zagramy w brydża, na pewno potańczymy. Duże kłopoty? Hm. Raczej takie sobie, codzienne. Były zobowiązania w zakładzie pracy, ale były i rodzinne. Jedne i drugie wykonane w 100 proc. Przyjadą rodzice, którzy mieszkają w małej osadzie. Nie lubię niespodzianek, wszystko ułoży się dobrze i na pewno nie będzie żadnych zakłóceń. Sny? Nie wierzę w żadne sny. Szef? Jak to szef. Ma niekiedy humory, ale i on nie chce psuć ludziom nastroju w przeddzień święta. Żonie kupiłem wiosenny płaszcz. Do twarzy. Mam wielkie, ambitne plany, ale to już moja prywatna sprawa. Nie, nic z tego. Po prostu mam zamiar zapisać się na studia zaoczne, zdobyć dyplom inżyniera — magistra. Co? Myślę sobie.

Mieczysław Lasota (robotnik) namówił rodzinę, że nie będą obchodzić imienin, tylko w dniu 1 Maja będą sobie składać życzenia i podarunki.

M. S. (ur. 1 maja 1944 r., Lublin): — Jakie mam wspomnienia? Wie pan przecież, ile mam lat. Wiem z książek, z przemówień, że to ważne święto, że przelewano krew, że proletariusze wszystkich krajów łączą się w tym dniu w mocnym uścisku. Mój stryj zginął na Majdanku. Nie, nie znałem. Tak, tylko z fotografii. Jak spędzę? Pryskam z kolegami, zaraz po pochodzie, jedziemy do Świdnika. Wszystko już przygotowane i zapięte na ostatni guzik. Pan chyba nikomu o tym nie powie? Dawniej? O, dawniej ludzie chodzili w śmiesznie szerokich spodniach, mieli wywatowane ramiona. Trudno, taka była moda. Bardzo szanuję wszystkich zasłużonych bojowników. Ale nie można ciągle o przeszłości, nie? Też mam pewne doświadczenie. Nie ma strachu, wszystko będzie O.K. Co się mam zastanawiać, jakie święto? Święto i basta. Bardzo dobre, wesołe, wiosenne. Pewnie, że nasze, a niby czyje miałoby być? Hobby? Krótkofalówka i hokej. Nie, nie czytałem jeszcze, ale przeczytam. Zdążę. Teatr? Oczywiście, na każde przedstawienie, w operetce też. Co? Ja mam powiedzieć? Też. No to niech się święci 1 Maj i żeby wszystkim w tym dniu było wesoło. Spokojna głowa, nikt i nic nam nie zakłóci tej zabawy. Nie ma prawa.

*

Kolegium redakcyjne debatowało, czy nie należałoby dopisać jakiegoś najkrótszego bodaj komentarza.

Po co?

Nie wybieraliśmy rozmówców, nie szukaliśmy. Wszyscy przypadkowi.

Tak właśnie obchodzą w naszym kraju obywatele Święto 1 Maja. Tak się rodzą nowe tradycje.

Waldemar Babinicz

SPÓR O MIASTO

POZORNIE mogłoby się zdawać, że jest to dyskusja raczej w sferze fantastycznych pomysłów. Ale tylko pozornie. Okazuje się bowiem, że to, jak ma wyglądać Białystok, i nie tylko Białystok, za czterdzieści lat, nie musi być zaraz przysłowiowym „bujaniem w obłokach". Doświadczenia minionych lat wykazują, że planowanie na dłuższy okres czasu staje się nieodzowne.

Najlepiej chyba przekonali się o tym białostoccy architekci, którzy pokusili się o stworzenie perspektywicznego projektu rozbudowy Białegostoku do roku 2000. Za czterdzieści lat miasto to liczyć ma około pół miliona mieszkańców. Tak przewidują demografowie. W obecnych granicach administracyjnych miasta pomieścić się może najwyżej 250 tys. mieszkańców.

Wniosek, jaki powinni wyciągnąć projektanci jest chyba jasny: wyjść z budownictwem poza obecne granice miasta. Jasny? Bynajmniej! Spoglądając na aktualną mapę Białegostoku projektanci dostrzegli wianuszek parterowych domków jednorodzinnych, wybudowanych w latach powojennych, stanowiący coś w rodzaju pancerza, przez który trudno się przebić.

Projektanci znaleźli się więc w kłopotliwej sytuacji. Co robić? Czy zaproponować zburzenie za kilkadziesiąt lat parterowych domków, zajmujących, a raczej tarasujących najlepsze w mieście tereny budowlane? Taka hipoteza (sam projekt ma charakter studium) nawet w roku 2000 musiałaby wydawać się absurdalna. Projektanci ją odrzucili.

Przy dwóch zasadniczych wariantach swojego projektu przyjęli, że Białystok powinien w przyszłości stać się tzw. miastem pasmowym. Dalsza rozbudowa miasta (gdzieś po roku 1980) powinna pójść w dwóch kierunkach: zachodnim oraz północnym. Trzeci wariant projektu przewiduje rozwój miasta o charakterze zwartym.

Czy ta koncepcja jest do przyjęcia? Raczej mocno dyskusyjna. Przede wszystkim po zrealizowaniu takiego projektu urbanistycznego automatycznie prawie wszystkie zakłady przemysłowe znalazłyby się w śródmieściu. Ponadto pod budownictwo mieszkaniowe trzeba byłoby zająć najlepsze tereny uprawowe w strefie podmiejskiej.

Wiadomo również, iż najsprawniej działa komunikacja w mieście o układzie nie pasmowym, ale promienisto-pierścieniowym. Wyobraźcie sobie ludzi udających się i wracających z pracy z jednego do drugiego krańca miasta w kształcie wydłużonej „kiszki"? Pamiętajmy również, że w roku 2000 z całą pewnością nie będzie nas straszyć stadko niemrawych „Mikrusów".

Jeśli już jesteśmy przy komunikacji warto kilka słów poświęcić... tramwajom. Tak, tramwajom. Czy uwierzycie, że projektanci przewidują, iż w roku 1980 (regularna komunikacja Ziemia — Księżyc) w Białymstoku powinny wreszcie pojawić się tramwaje, a w roku 2000 szybka kolej miejska. Boże, nie bądźmy aż do przesady skromni (pomniki z rozmachem potrafimy stawiać). Ale to tylko na marginesie.

W ROKU 2000

ALE wróćmy na chwilę do hipotezy demografów. Przewidują oni, że w związku z intensywną mechanizacją prac rolnych, znaczna część ludności wiejskiej w najbliższych 40 latach przeniesie się do miast. W roku 2000 — zgodnie z tymi przewidywaniami — Białostocczyzna liczyć będzie około dwóch milionów mieszkańców, w tym 1300 tys. zamieszka w miastach. Nastąpi więc okres wzmożonej urbanizacji.

Jak z tego wynika znaczną część, bo aż do 60 proc. migrującej ludności wiejskiej musiałby przyjąć sam Białystok, który stałby się miastem — metropolią (oczywiście w skali swego regionu). Czy ta koncepcja wysunięta już przez urbanistów jest do przyjęcia? Wydaje się, że raczej nie. A dlaczego?

Obecnie na Białostoczczyźnie nie ma ani jednego miasta (oczywiście poza Białymstokiem), które liczyłoby więcej niż 25 tys. mieszkańców. Jedynie Łomża, Suwałki i Ełk w pewnym sensie są ośrodkami o charakterze ponadpowiatowym. Ale i te miasta nie posiadają większego przemysłu, który przecież decyduje o... rozmachu wielkomiejskim.

Czy więc nie należałoby pójść na większą rozbudowę nie tylko Białegostoku, ale także niektórych miast powiatowych takich jak właśnie Łomża, Ełk, Suwałki, Bielsk Podlaski, Siemiatycze i być może innych jeszcze? Miast, które często legitymują się długoletnią, nieraz tysiącletnią historią i które posiadają odpowiednie warunki dalszego rozwoju?

Uważam, że nie jest pytanie retoryczne. Przede wszystkim musimy mieć na uwadze wcale niebagatelne względy społeczne. Przypuśćmy na przykład, że mieszkaniec mieszczącej się na samym krańcu województwa wioski chciałby „zakosztować" atrakcji wielkomiejskiej. Czy zdecyduje się na 150-kilometrowy wojaż do Białegostoku? Chyba raczej obejdzie się „apetytem" i nie pojedzie. A do Suwałk czy do Łomży miałby tak blisko.

Pamiętajmy również, że dla tych wszystkich, którzy zdecydowaliby się w przyszłości (a byłoby ich 400 tysięcy!) przenieść do Białegostoku należałoby zapewnić miejsca pracy, przede wszystkim w przemyśle. A w Białymstoku już istnieje ciężka sytuacja z terenami pod budownictwo przemysłowe. Przez kilka miesięcy rozważa się teraz, gdzie zlokalizować jedną z większych fabryk metalowych.

Obecnie ojcowie wszystkich niemal miast z otwartymi rękoma przyjmują wszystkie oferowane im inwestycje przemysłowe. To zrozumiałe. Ale czy już za kilkanaście, a być może i za kilka lat, czcigodni ojcowie najpierw nie będą pytać: — A jakie zakłady proponujecie wybudować w naszym mieście? Nie **ile**, ale **jakie**.

Skąd takie przypuszczenie? Przecież nie jest żadną tajemnicą, że jeszcze często lokalizując w danym mieście jakiś zakład przemysłowy, nie bierze się pod uwagę, czy zakład taki ma możliwości dalszego rozwoju. Faktem jest na przykład, że już za kilka lat w Białymstoku dadzą o sobie znać kłopoty z wodą, której na potrzeby miasta nie wystarczy w Narwi i Supraśli. Podobne trudności powstać mogą z energią elektryczną, surowcami, siłą roboczą itp.

STANISŁAW ŚWIERAD

WSZYSTKO przemawia raczej za tym, że należy pójść na równomierną rozbudowę wszystkich miast Białostocczyzny, a z niektórych stworzyć ośrodki o charakterze ponadpowiatowym. Oczywiście wniosek stąd taki, że opracowywanie perspektywicznego planu rozbudowy Białegostoku musi być koniecznie zsynchronizowane z opracowaniem podobnych planów dla pozostałych miast białostockich.

*

Spór o Białystok w roku 2000 trwa. Podkreślmy jeszcze raz: spór wcale nie abstrakcyjny. Pamiętajmy bowiem o oczywistej prawdzie, że musimy budować dzisiaj z myślą o jutrze, nawet (pozornie tylko) dalekim.

JAKOŚ TO NIE JEST...

JERZY DOSTATNI

ILEKROĆ idę w Lublinie ulicą Lipową, doznaję bardzo sprzecznych uczuć. Pamiętam te niedawne jeszcze lata, gdy dziś szeroka, pięknie asfaltowana ulica była czymś w rodzaju wąskiego, ponurego wąwozu, którego ze względu na liczne niebezpieczeństwa unikali zarówno piesi jak i pojazdy. Na miejscu zachwaszczonych placów, budek i baraków wyrosły może nie najpiękniejsze architektonicznie, ale też wcale nie najbrzydsze w mieście, a tak bardzo pożądane domy mieszkalne. To raduje nie tylko mnie. Gdy zbliżam się do skrzyżowania z ulicą Narutowicza po pierwszym wejrzeniu na stojący bokiem do ulicy, nieco schowany w głębi budynek również zaczynam się cieszyć. To przecież jedna z budujących się, równie jak mieszkania potrzebnych — szkół podstawowych.

Ale za sekundę przychodzi refleksja. Budowa tego gmachu szła wyjątkowo sprawnie, ludzie wyprzedzali harmonogramy i to tak bardzo, że na jesieni ub. r. istniała pewność, iż nowa szkoła może być oddana do użytku zaraz po Nowym Roku, wyprzedzając plan o przeszło pół roku. Oczyma wyobraźni widziałem już dzielną załogę budowlaną, jak otrzymuje serdeczne podziękowania nie tylko od władz, ale i od rodziców dzieci, które będą mogły uczyć się w tak wspaniałych warunkach.

Nowa szkoła przy ul. Lipowej do dzisiaj jednak nie jest ukończona. Zacznie nam służyć dopiero od nowego roku szkolnego. Jeszcze przed kilku miesiącami ludzie, odpowiedzialni za planowanie i realizację planów inwestycyjnych, bezradnie rozkładali ręce: niestety brak pieniędzy na szybkie dokończenie robót. Ponieważ w takiej sytuacji i Salomon okazałby się bezradny, kończyło się wyrozumiałym kiwaniem głowy.

ALE oto niespodzianka. Mam przed sobą szczegółowy wykaz, jak w roku ub. zrealizowano w naszym województwie i jego stolicy plan inwestycji szkolnych. Podliczone w bilansach cyfry są bezwzględne. I nieprawdą jest to, że zabrakło pieniędzy. W naszej kasie społecznej wprawdzie się nie przelewa, ale przecież na budowę szkół w województwie plan zeszłoroczny wydzielił pokaźną sumę ponad 195 milionów zł. Była to największa suma, wydzielona w planie terenowym na jakikolwiek rodzaj inwestycji. Mało tego. Z początkiem drugiego półrocza wiadomo już było, że na IV kwartał w ramach tzw. sum pozalimitowych przybędzie jeszcze sporo — i rzeczywiście przybyło 37,7 miliona zł. Były więc razem 233 miliony zł. Tak, to nie omyłka — prawie ćwierć miliarda zł.

Niestety z przykrością trzeba stwierdzić, że nie doceniliśmy wysiłku państwowej kiesy. Na koniec roku nie wykorzystaliśmy z planu 13 milionów, z dodatku 7 milionów — razem 20. Można było za te pieniądze wybudować cztery zupełnie nowe szkoły, można było dokończyć nie tylko tę przy ul. Lipowej w Lublinie, ale i kilkanaście innych.

Trzeba jednak powiedzieć prawdę do końca. Podobnie, a raczej jeszcze gorzej stało się w dziedzinie kultury. Tutaj na łączną sumę niemal 33 milionów zł wykorzystaliśmy tylko 28,4. Pozornie — licząc w milionach — kultura wygląda lepiej. Jeżeli jednak przeliczyć to na procenty, dla szkół wypadnie ok. 8,3 procent, dla inwestycji kulturalnych aż 13 procent przyznanych, a nie wykorzystanych pieniędzy. I to wszystko w sytuacji, gdy nawet przewidziane planem budownictwo szkolne nie gwarantuje — jak dotąd — pełnej realizacji reformy szkolnej, gdy w planach kulturalnych wciąż jeszcze brakuje takich pozycji, jak nowy teatr dramatyczny, baza dla filharmonii i dziesiątki innych bardzo potrzebnych inwestycji. Cóż moglibyśmy odpowiedzieć ministrowi finansów, gdyby nagle uległ naszym żądaniom i prośbom, przeznaczając ileś tam dalszych milionów na budowę teatru?...

NIE zamierzam budować pręgierza. Jakiż sąd zresztą przekazałby katowi do napiętnowania wcale spory tłumek ludzi, tak czy inaczej odpowiedzialnych za owe stracone miliony? Mimo że chodzi tu nie tylko o same miliony, ale o zubożenie naszego życia oświatowego i kulturalnego, o nie zaspokojone potrzeby tysięcy ludzi, o to, że w naszym nieustannym rozwoju jesteśmy o dwa, czy chociażby o jeden stopień niżej, niż być mogliśmy, niż być powinniśmy?

Hm — temat „poszukiwanie ludzi odpowiedzialnych" staje się nieco niebezpieczny. Proszę więc wybaczyć autorowi, że w tym miejscu robi woltę i zajmuje się nie ludźmi, lecz zjawiskami.

Otóż najbardziej niebezpiecznym zjawiskiem wydaje mi się to, że owi odpowiedzialni wcale nie czują się odpowiedzialnymi. I na ogół płynie to z ich najgłębszego przekonania — co właśnie jest najsmutniejsze. Nic przecież nie dzieje się samo. Nawet deszcz — zjawisko natury — w pewnych wypadkach jest już zależny od ludzi. A jeżeli inne zjawiska w większości wypadków są jeszcze niezależne, to tylko dlatego, że nie nauczyliśmy się dotychczas nad nimi panować. Ale czy nie umiemy panować nad właściwym przygotowaniem inwestycji, sporządzeniem na czas odpowiedniej dokumentacji, wyprodukowaniem potrzebnej ilości cegły, cementu i żelaza? Czy nie umiemy dokonywać bilansów potrzebnych środków, aby wykonać postawione sobie cele? Albo — jeżeli środki są zbyt szczupłe — czy nie umiemy przystosowywać do nich celów?

W TEORII wszystko to umiemy. Mamy ludzi z tytułami naukowymi i administracyjnymi, którzy nazywają się specami od poszczególnych zagadnień. Wiemy — przynajmniej na konferencjach — co i jak należy przygotować, kiedy zacząć i kiedy skończyć, aby było najlepiej, najtaniej. Nie wszystko, ale chyba zbyt wiele zaczyna się rwać, gdy przychodzi do realizacji. Przecież nikt inny tylko ludzie, których nazywamy odpowiedzialnymi, decydowali o przyznawaniu owych milionów na rzecz szkolnictwa i kultury, o wydzieleniu na ten cel odpowiednich środków. Ci sami odpowiedzialni ludzie — albo inni, co nie zmienia stanu faktycznego — jeszcze trzy miesiące przed zakończeniem roku zapewniali, że wszystko jest w najlepszym porządku.

A jednak nie było — jak wykazują cyfry. Zaczęło się więc poszukiwanie tzw. przyczyn obiektywnych, czasem przerzucanie winy z jednych odpowiedzialnych na drugich odpowiedzialnych. W rezultacie kółko się zamyka. A najciekawsze w tym wszystkim jest to, że pracownicy biur projektowych, służb inwestycyjnych i przedsiębiorstw budowlanych otrzymują premie za wykonanie, a często i przekroczenie planów. Lojalnie trzeba przyznać, że według przedstawionych przez te biura i przedsiębiorstwa sprawozdań plany są rzeczywiście wykonane. I tylko tacy ludzie nieodpowiedzialni jak autor czy zwykły przechodzień z ulicy dziwią się, że zostały miliony, że ileś tam szkół nie wykończono, że...

Wydaje się, że z tym zjawiskiem trzeba zacząć wreszcie zdecydowaną walkę. Nie chodzi mi tu o mniej czy więcej naciągnięte premie czy zasłanianie się paragrafami. Rzecz chyba w tym, abyśmy wyrobili w sobie większe, znacznie większe poczucie odpowiedzialności, prawdziwej, społecznej odpowiedzialności. Bo od służbowej, administracyjnej, stosunkowo łatwo się wykręcić. Niestety zbyt często jeszcze brakuje nam tej odpowiedzialności społecznej, poczucia obowiązku, który wykracza poza paragrafy i pisemka. Niektórzy mówią, że paragrafy istnieją po to, aby je omijać. Niech będzie i tak, pod warunkiem, że to omijanie prowadzi do korzyści społecznej, do lepszego wypełniania obowiązków, do wzmocnienia wysiłku dla dobra nas wszystkich.

W CZASIE jednej z rozmów pewien odpowiedzialny człowiek usiłował mnie przekonać, że owe miliony wcale nie są stracone, że nie wykorzystane w jednym roku — przechodzą na następny. Formalnie tak. W rzeczywistości jednak plan roku następnego, a najpóźniej po dwu latach jest obniżony o te właśnie sumy, które poprzednio okazały się zbyt wielkie. Tak być musi, bo inaczej doszlibyśmy do absurdu, dezorganizującego życie gospodarcze całego kraju. O tym jednak zbyt często nie chcemy pamiętać, zadowalając się staropolskim „jakoś to będzie w przyszłym roku". A w przyszłym jest znowu to samo.

Uczymy wiele mądrych rzeczy w naszych szkołach — podstawowych, średnich i wyższych. Ale nigdzie nie ma przedmiotu „odpowiedzialność społeczna". Osobiście nie bardzo wyobrażam sobie lekcji i wykładów na taki temat. Z drugiej jednak strony wydaje się, że marginesowe i sporadyczne uwagi na ten temat części nauczycieli są mocno niewystarczające. Może więc zwrócić się do pedagogów? Prasa i radio też nie grzeszą nadmiarem zainteresowania tymi sprawami ani dociekliwością, prowadzącą do ukazania zjawisk, do od-

(Dokończenie na str. 15)

Wieś jest już inna, panowie!

LITERATURA „dla wsi". Powieści o życiu na wsi „dla wsi". Audycje radiowe dla wsi „Ze wsi i o wsi". Dom Chłopa w Warszawie „dla wsi". Dziewczęta i chłopcy w „Mazowszu" i w „Śląsku" ze wsi. Ze wsi? Sołtys Kierdziołek, radiowa kapela Wesołowskiego i Dzierżanowskiego itd. Ale dość. Kto, co? Kto komu? Po co? Po co tyle zakłamania?

„On jest z wiochy" — mówi niejeden z miasta. „A może wam jeszcze kwaśnego mlika" — docina wiejskiej kobiecie kelner w Domu Chłopa. „Wtrącam 'dyć' i 'a ino'" — powiada Załucki w wierszyku o Domu Chłopa. „U nas, wicie, w Chlapkowicach..." — gawędzi wyfraczony Ofierski.

O co właściwie chodzi? O rozkwit ludomanii i fałszywej mody na wieś, czy o rzeczywiste zatarcie różnic między poziomem cywilizacji w mieście i na wsi? Jeśli o to drugie, to dlaczego tyle mieszczańskiej kokieterii w stronę wsi i stwarzania pozorów? Właśnie pozorów!

Obliczcie, jaki procent w D. Ch. stanowią mieszkańcy wsi. Przyglądnijcie się, jak są traktowani przez personel, jeśli już mają szczęście tam mieszkać. Czy przeciętny mieszkaniec wsi ma możność być na występie np. „Mazowsza"? Skąd! Ten pseudo-ludowy zespół jest wyłącznie na eksport, a jeśli zdarzy się cud i występuje w kraju, to już tylko w wielkomiejskich ośrodkach. Średnio bilet do teatru kosztuje 20 zł. Wygodne fotele, iluminacja, reflektory, gaśnięcie świateł, nastrój. Wiadomo, stolica (kraju czy województwa — to już obojętne). Kiedy zespół bardziej lub mniej artystyczny (ale zawodowy) przyjedzie na wieś, schodzą się ludziska do ponurej, lodowatej i ciemnej „sali" i stłoczeni, zbici w ciżbę stoją wytrwale przez dwie godziny (ław starczyło dla niewielu), oglądając lepsze czy gorsze widowisko. Wiecie, ile kosztował ich bilet wstępu? Nie wiecie? Dwadzieścia albo i trzydzieści złotych polskich. Ile kosztowałoby stojące miejsce np. w Teatrze Słowackiego w Krakowie, jeśli boczna „jaskółka" kosztuje tam 2 zł? Dlaczego na wsi stojące miejsce ma kosztować 20 zł i to często na spektakl, który w większym mieście nie jest dopuszczany na sceny? Ale równocześnie „w trosce" o godziwą rozrywkę dla wsi wymyśla się specjalną literaturę, redaguje się specjalne gazety, opracowuje się specjalne audycje radiowe, ustala się zestawy filmów dla wsi (koniecznie tylko oświatowe, bo chłopa trzeba przecież oświecać), poucza się chłopa, kiedy ma orać, siać, kosić, młócić, co ma robić na wiosnę, co w lecie, zimie, co we wtorek i co w sobotę, o której godzinie ma wstawać i o której iść spać (w tym celuje przede wszystkim Polskie Radio). — Przesadzam? być może ale niezbyt wiele.

Piszę o tym, bo wydaje mi się, że wyobrażenia o wsi w pewnych kołach (zwłaszcza centralnych) nadających ton polityce kulturalnej nie odbiegają daleko od wyobrażeń, jakie miał o wsi ksiądz Stojałowski. Chyba stąd bierze się wciąż przeświadczenie, że chłopa trzeba uczyć, uczyć, uczyć. Oświecać na każdym kroku. Stąd też dobra kultury, z których ma korzystać, muszą być koniecznie inne niż dla miasta, że musi to być coś specjalnego. Czy przez to nie wytwarza się pewnej klasowości wsi? Czy to nie jest zaakcentowaniem, że wieś to coś innego niż miasto? Że mieszkaniec wsi to człowiek o innym, niższym poziomie umysłowym? Czy stwarzanie takiego rozgraniczenia między miastem a wsią nie pozwala na zatarcie do końca różnic? A trzeba i to mieć na uwadze, że w wielu wypadkach owa ogólnie mówiąc „kultura dla wsi" ma znaczenie pejoratywne i to nie tylko u przeciętnego mieszczucha.

Wieś polska anno 1962 jest już zupełnie inna niż nawet 10 lat temu. Zmienia się z dnia na dzień. Ale czy mogą wiedzieć o tym redaktorzy pism, dziennikarze, ministerialni urzędnicy, którzy znają ją z widokówki, a w najlepszym wypadku z okna samochodu osobowego? I dlatego nie zachwyca mnie fakt, że w miastowej Polsce obraz współczesnej wsi tworzą Chlapkowice, że wzorem chłopa jest Kierdziołek i jego kompania. Wolę też amatorski zespół regionalny od dam z „Mazowsza" malujących na zielono powieki. Nie lubię wychowawczych audycji radiowych dla wsi, mistrza ceremonii z „Zielonego Autobusu", inaugurującego każdy swój występ zawołaniem: „Jak sie mata, chłopy!" (kultywowanie gwary — ale jakiej?) i innych „wiejskich" akcesoriów wylęgłych w centralnej rozgłośni. I uważam, że nie po to ludzie ze wsi nadsyłali swoje pieniądze na budowę Domu Chłopa, aby teraz odprawiano ich z kwitkiem i aby pierwszy lepszy kelner mógł z nich kpić. I wreszcie jestem przeciwniczką i tzw. kultury dla wsi i o wsi produkowanej w ministerialnych urzędach, nowomieszczańskich gabinetach i przy kawiarnianych stolikach przez ludzi nie mających z wsią nic wspólnego. Po 17 latach olbrzymich przemian gospodarczych i cywilizacyjnych już najwyższy czas, aby wieś traktować na zasadzie „równy równemu". Polska gromadzka nie jest ani trochę głupsza od Polski stołecznej czy wojewódzkiej.

Tak jak dla robotnika warsztatem pracy jest fabryka, a dla inteligenta biuro, tak dla chłopa jest ziemia i kiedy kończy pracę staje się takim samym, jak miastowi, obywatelem, mającym takie same zainteresowania i potrzeby kulturalne. Wieś rzeszowska jest taka właśnie, trochę zacofana, trochę nowoczesna, ale nie beznadziejnie ciemna. Zacofanie i kołtuństwo nie jest cechą wsi, jest cechą bardzo wielu, nawet i tych najwyższych, środowisk. Po skończonej pracy ludzie na wsi odkręcają gałkę radia, by posłuchać koncertu czy słuchowiska, idą do kawiarni, jeśli jest takowa. Dziewczęta chodzą w szpilkach, chłopcy jeżdżą na motocyklach i interesują się lotami na Księżyc nawet tam, gdzie jeszcze króluje Łukaszewicz. Chcę przez to powiedzieć, że dzisiejsza wieś nie ma jakichś wyróżniających ją od miasta zainteresowań pozazawodowych. Tu w równym stopniu, jak i w środowiskach miejskich, czyta się „Horyzonty Techniki", „Motor", „Film", wszelkie magazyny ilustrowane po „Przekrój" włącznie, dzienniki itp. (tylko

LUDMIŁA TOKARSKA

wybór jest mniejszy w myśl założeń, że „nie wszystko na wieś nadaje się"). Czytany jest Dygat i Andrzejewski, Sienkiewicz i Kraszewski, Caldwell i Hemingway, powieści podróżnicze i wojenne, historyczne i obyczajowe. O „Trędowatą" i powieści Curtz-Mahlerowej nikt się nie pyta, co czytelnikom miejskim zdarza się od czasu do czasu. Z książek popularnonaukowych czytywane są rolnicze i z zakresu gospodarstwa domowego, techniczne i mówiące o astronautyce. Procent wypożyczen tych książek w mieście i na wsi kształtuje się nieomal jednakowo. Tak jak i w mieście ludzie mają tu swoje ulubione typy powieści: historyczne, podróżnicze, przygodowo-sensacyjne, romanse itp., dopominają się o nowości i mają ulubionych pisarzy. Książek literacko trudnych nie czyta się — ale i w mieście czyta je tylko nieliczna grupa — w żadnym środowisku (z wyjątkiem specjalistycznego lub snobów) nie należą one do literatury powszechnie popularnej. Kafka i w Warszawie nie jest rozchwytywany przez przeciętnych czytelników. Powieści czy opowiadania o wsi są na wsi czytane nie więcej niż w mieście, nawet mniej. Często spotyka się zdanie „nie chcę o wsi, chcę o innych światach". Zawsze i każdego przecież pociąga to, co jest nieznane, inny świat, inni ludzie, inne życie, może lepsze, może piękniejsze albo szczęśliwsze? Toteż życzenia kierowane do bibliotekarki są takie, jak wszędzie: „żeby było dużo o miłości", „coś takiego, żeby można było popłakać", „o podróżach, o obcych krajach". Młodzież najchętniej czyta o wielkich przygodach, bohaterskich kowbojach, walecznych żołnierzach, genialnych detektywach, fantastycznych podróżach na Księżyc. Kobiety lubią czytać o miłości, mężczyźni o wojnach. Jedno tylko wyróżnia ich od miejskich czytelników: nie są zmanierowani, są szczerzy i żądni wiedzy, są praktyczni i chcą z książki mieć jakiś pożytek. Rzadko kiedy pożyczają dla „zabicia czasu". Czas na wsi jest dużo cenniejszy niż w mieście.

Osobny niemal rozdział w życiu czytelniczym rzeszowskiej wsi stanowi chęć posłuchania tego, co mówią ludzie pióra i nauki. Odczyty, prelekcje i spotkania autorskie cieszą się na wsi dużo większą popularnością niż w mieście. Impreza taka jest zwykle świętem we wsi. Przychodzą tłumy, słuchają z zainteresowaniem, z ciekawością i, mimo że najczęściej nie znają książek tego pisarza, dyskutują z wielkim ożywieniem. Taką frekwencją i ożywieniem cieszyły się spotkania Pawła Jasienicy (historia, archeologia), M. Rusinka (podróże), St. Czerniaka, J. Zycha (poezje!), St. Strumph-Wojtkiewicza, O. Terleckiego (II wojna światowa) i wielu innych pisarzy. Spotkania przeciągają się nieraz długo w noc, zwłaszcza jeżeli pisarz jest byłym żołnierzem i mówi o minionej wojnie. Zwykle wśród słuchaczy znajdzie się jakiś kombatant, którego losy rzuciły na dalekie fronty, nieraz okaże się, że właśnie wtedy zetknął się z przybyłym obecnie pisarzem gdzieś na Dalekim Wschodzie czy w Coötquidan, w drodze na Berlin lub w czasie walk w Bieszczadach. Pamiętam, jak raz na spotkaniu ze St. Strumph-Wojtkiewiczem dyskusja ciągnęła się do godziny pierwszej w nocy. Było to w maleńkiej, nadgranicznej wsi, w Dusowcach w powiecie radymiańskim. Dyskusja na spotkaniu z J. B. Ożogiem w jednej wsi w leżańskim powiecie trwała do północy — i to dyskusja na temat pisarstwa i tematów literackich. Tak więc spotkania na wsi trwają nieraz po cztery i pięć godzin, często trzeba je nawet przerywać, bo trwałyby nieskończenie długo. Nie znaczy to jednak, że tak jest wszędzie, ale nie mogę powiedzieć, żeby nie wzbudzały one ogromnego zainteresowania, jeśli tylko zostały dobrze przygotowane przez organizatorów. Młody krakowski poeta, Jan Zych, w odległej wsi jasielskiej, Siedliskach — Bogusz, czytał

(Dokończenie na str. 16)

RZESZOWSKIE EKSPERYMENTY

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

DECENTRALIZACJA, mimo niełatwych do ustalenia mankamentów, wniosła przecież w życie polskiej prowincji zmiany nieodwracalne i napawające nadzieją. Chociaż niesłychanie powoli, ale systematycznie, wzrasta zakres kompetencji i możliwości terenowych organów władzy: chociaż nie bez zahamowań, przekształcają się one z ubezwłasnowolnionych urzędów w rzeczywistych gospodarzy swego miasteczka, powiatu.

I mimo że proces ten nie przebiega regularnie, mimo że w wielu wypadkach dzieje się akurat odwrotnie — z przyczyn, które trudno zasygnalizować w jednym zdaniu — mimo to, generalnie biorąc, decentralizacja okazała się wielką szansą prowincji.

Powstaje pytanie, czy prowincja potrafi i czy zechce wykorzystać tę szansę? I tutaj mimo licznych wątpliwości, mimo przykładów, które dostarczają zdecydowanie negatywnej odpowiedzi — mnożą się fakty umacniające w przekonaniu, że szansa ta nie zostanie zaprzepaszczona.

Od paru lat obserwujemy szczególny urodzaj na różnego rodzaju eksperymenty, od gospodarczych, pedagogicznych, turystycznych, a na kulturalnych skończywszy. Myślę, że jest to zjawisko wyjątkowo pozytywne, zjawisko świadczące o usamodzielnieniu się terenu, wykazujące potrzebę samodzielnego myślenia i działania. Zresztą nie tylko potrzebę, ale i celowość. Bo właśnie — w udanych inicjatywach terenowych najlepiej chyba potwierdza się słuszność ogólnych założeń polityki decentralizacji.

„Moda" na eksperymenty w dziedzinie kultury nie ominęła także (na szczęście) Rzeszowszczyzny. W roku ubiegłym, który charakteryzują wyjątkowo udane obchody Roku Ziemi Rzeszowskiej, podjął inicjatywę eksperymentowania jeden z najuboższych powiatów województwa, pozbawiona przemysłu, piaszczysta i lesista ziemia kolbuszowska.

Jesienią otwarto w kolbuszowskim 22 placówki kulturalno - oświatowe: otrzymały one tradycyjne wyposażenie świetlicowe, które uzupełniono telewizorami, biblioteką podręczną i filmowymi aparatami wąskotaśmowymi. Całą działalność oparto o szkołę, starając się dostosować do miejscowych warunków wypróbowane już w Węgrowie hasło „szkoła ośrodkiem życia kulturalnego na wsi". Działacze kolbuszowscy z kierownikiem wydziału kultury, Maciejem Skowrońskim, duszą całego przedsięwzięcia, nie trzymają się niewolniczo przyjętych schematów: w miejscowościach, gdzie lepsze warunki lokalowe miały biblioteki — ulokowano placówki w bibliotekach, powierzając ich kierownictwo ludziom mających największe doświadczenie.

Kolbuszowa eksperymentuje od paru miesięcy i trudno wyciągnąć stąd jakieś daleko idące uogólnienia. Już dziś jednak nie ulega wątpliwości, że sięgnięcie po współczesne środki oddziaływania, posługiwanie się filmem oświatowym, telewizją, atrakcyjne niezrutynizowane formy pracy spotkały się wszędzie z dużym zainteresowaniem. Praktyka kolbuszowska potwierdza też starą prawdę o zasadniczym znaczeniu kadry: nie pomoże najlepsze wyposażenie, jeżeli pracą nie pokieruje rozumny, oddany sprawie działacz.

Podstawy finansowe inicjatywy kolbuszowskiej: ponad półtora miliona złotych. Wbrew przypuszczeniom większość środków, ponad milion złotych, wygospodarował sam powiat, pół miliona złotych przyznała Centralna Komisja Koordynacyjna, a 50 tysięcy Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej i Biblioteka Wojewódzka.

Wszystko wskazuje na to, że „inwestycja" ta sowicie się opłaci.

Z doświadczeń Kolbuszowej, a także innych eksperymentujących powiatów zamierzają skorzystać dwa dalsze powiaty Rzeszowszczyzny: dębicki i brzozowski. Za dobre wyniki w zbiórce Brzozów otrzymał milion zł z funduszy SFBS, pomoc finansową przyrzekły także władze wojewódzkie i powiatowe. Brzozowianie planują otwarcie jesienią br. 20 placówek kulturalno-oświatowych. Mają one otrzymać podobne wyposażenie, jak placówki kolbuszowskie, całą jednak działalność zamierza się skupić przy bibliotekach.

Założenia te wywołały dyskusję wśród działaczy z powiatu. Przedmiotem sporu jest właśnie rola biblioteki. Część bibliotekarzy obawia się, że założenia inicjatywy brzozowskiej przerastają możliwości bibliotek.

Już teraz — powiadają oponenci — bibliotekarz gromadzki przeciążony jest pracą techniczną, opracowywaniem księgozbioru, pozostały czas poświęca pracy z czytelnikiem. Przy dobrych chęciach znajdzie czas na działalność oświatową, ale o rozrywkowej nie ma mowy. A poza tym — ta ostatnia będzie się kłócić z charakterem biblioteki, która stosuje bardziej kameralne metody pracy.

Zwolennicy hasła „biblioteka ośrodkiem życia k.o. na wsi" replikują: — Absolutnie nie chcemy i nie możemy wymagać od kierownika biblioteki, by prowadził całokształt działalności k. o. Chcemy powołać komitety społeczne złożone z odpowiednich ludzi. Ich zadaniem będzie pomoc dla bibliotekarza, który ma stać się koordynatorem całej pracy.

Nieprzekonani adwersarze odpowiadają: — Nawet jeżeli założymy, że komitety społeczne będą dobrze pracować, to i tak koordynowanie całej roboty nie będzie łatwe. Poza tym doświadczenie wykazuje, że tego rodzaju zbiorowe organy przeważnie kiepsko pracują. Co wtedy? Cała robota spada na barki bibliotekarza. Czy nie stanie się to ze szkodą dla zasadniczego obowiązku biblioteki, jakim jest upowszechnianie czytelnictwa, propaganda książki? Żeby właściwie realizować te obowiązki, bibliotekarz powinien dużo czytać, orientować się jako tako w sytuacji na rynku wydawniczym. Innymi słowy obawiamy się, by realizując założenia eksperymentu nie położyć przy tej okazji pracy bibliotek.

Streszczając pokrótce argumenty obu stron, trudno teoretycznie przy braku doświadczenia przyznać którejś całkowicie rację. Wydaje się, że najwięcej dałaby w tym wypadku konfrontacja doświadczeń powiatów realizujących eksperymenty. Warto, by w ramach zacieśniającej się współpracy województw wschodnich działacze z Brzozowa zapoznali się z interesującymi osiągnięciami lubelskich eksperymentatorów: Lubartowa i Chełma. W jakimś zakresie można to nawet zrobić za pośrednictwem „Kameny".

KULTURA w gromadzie rodzi się z pracy

CZESŁAW MORAWSKI

KIEDY otrzymałem od kol. Małysiaka propozycję przyjęcia obowiązków prelegenta Towarzystwa Wiedzy Powszechnej — długo zastanawiałem się nad tym, czy w moich trudnych warunkach rodzinno-środowiskowych wywiążę się z przyjętego zadania. Wybrałem tematykę przyrodniczą, jako bliższą moim zainteresowaniom. Przydzielono mi kilka wsi na terenie gromady Dębice w pow. nowogardzkim: mieszkańcy ich mieli poznać teorie powstania życia na ziemi i teorię ewolucji. Pomocy naukowych do tych prelekcji nie miałem żadnych. Uzbrojony wiadomościami z „Problemów", „Wiedzy i życia", skryptów uniwersyteckich, wyruszyłem naprzełaj, przez pola, żeby skrócić drogę do pobliskiej wsi Nastazina.

Noc się już ciemna zrobiła, gdy dobrnąłem do wsi. Poszedłem wprost do szkoły, bo tam mieli się zgromadzić miejscowi gospodarze, zrzeszeni w spółdzielni produkcyjnej. Na sali było już kilku chłopów, którzy ćmili papierosy i opowiadali o pracy minionego dnia.

Pozdrowiłem obecnych i zająłem miejsce przy stole. Zanim rozpocząłem właściwą prelekcję, nie wiadomo kiedy wciągnięty zostałem do dyskusji na temat rentowności gospodarki spółdzielczej w Nastazinie. Przewodniczący spółdzielni i księgowy bez posługiwania się ołówkiem i zapisem, w pamięci sporządzili globalny bilans, który wykazywał, że nie kalkuluje się gospodarzyć, a pracownik obarczony liczną rodziną, rodziną na chleb nie zarobi. Co wtedy mamy robić? usłyszałem ze wszystkich stron natarczywe pytania, które przychodziły w warczenie. Psiakrew, co mamy robić! Wśród dziesiątków koncepcji chwyciłem się pierwszej z brzegu, byleby to warczenie skierować bodaj na stracha na wróble.

— Proszę panów, są dziesiątki rozwiązań. Pozwólcie, że zwrócę uwagę na jedno zasadnicze zagadnienie. Zboża produkujecie w niewystarczającej ilości. Przychód z 1 ha 18 q żyta jest stanowczo za niski. Gdyby uzyskiwać 26 q to jeszcze z biedą można dawać sobie radę. Ale mnie nie chodzi o produkcję zbożową. Mnie chodzi o produkcję nasion kwalifikowanych — elity na rynek krajowy i na eksport. Chcę wam przedstawić uzyskane dochody z uprawy brukwi nasiennej Hofmana. Za 1 q nasion brukwi płacą 9.000 zł. Z hektara lekko można uzyskać 15—16 q. To mniej więcej równa się 135 tysięcy złotych. Proszę, powiedzcie mi, która roślina może być równie rentowną uprawą w waszym gospodarstwie?...

...Na zreferowanie właściwego tematu — powstanie życia na ziemi — pozostało niewiele czasu. Możliwie zrozumiałą terminologią w sposób jasny i elementarny usiłowałem trafić do swiadomości.

— A teraz proszę zadawać pytania.

— Jak to się stało, że człowiekowi ogon odpadł?

— Czy człowiek może być inny niż jest?

— Dlaczego prelegent nie wspomniał, ani razu, że wszystko co odbywało się na tym świecie, odbywało się zgodnie z wolą bożą?

Po tych pytaniach zawisło milczenie. Wiedziałem z góry, że cokolwiek bym mówił, nie będzie przyjęte jako prawda, jako pewnik, ani godne zaufania i wiary.

— Będę odpowiadał po kolei na stawiane mi pytania. W to co mówię nie potrzeba wierzyć. Wystarczy tylko wiedzieć. Byłoby źle gdybyśmy naukę przyjmowali na wiarę. Nie byłaby to nauka, lecz bzdura. Nie byłoby w niej prawdy. Czy każe ktoś panom wierzyć, że dwa razy dwa jest cztery? Że każdy kamień strącony z góry musi spadać w dół, że wszystko co żyje musi się odżywiać. W prawdy nie trzeba wierzyć, wystarczy wiedzieć. Akty wiary są tu niepotrzebne...

— Co tam pytać — odezwał się ktoś na sali. — Czy było tak na świecie, aby słabszy miał prawo i rację? Czyja siła tego prawda. Pan niech będzie spokojny, to się pana nie tyczy, pan nie jest władzą, ani jej nie reprezentuje. A jeżeli pan się o tym nie przekonał, to się jeszcze przekona.

Ludzie zaczęli głośno ziewać i opuszczać salę, ponad głowami skłębił się dym tytoniowy i natychmiast się rozproszył przed strugą świeżego powietrza przez uchylone drzwi. Za chwilę nie było nikogo. Narzuciłem jesionkę i wyszedłem. Wiał wilgotny, przejmujący północno-zachodni wiatr. Ciemno i głucho. Godzina była późna, może 24 i większość zabudowań pogrążona była w nocy.

Którędy iść? Drogą, o dwa km dłużej, przez pola i łąki za ciemno, można się do rowu wsunąć. Poszedłem drogą. Za wsią, gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, wydało mi się, że dość widno. Po co mam dwa kilometry iść dłużej? Skręciłem w pole. Gdy zszedłem po pochyłości w pola ku łąkom, wiatr jakby ustał, ale wilgotność powietrza gwałtownie zgęstniała. Na krok nic nie można było dojrzeć. Mgła. Jeszcze tych 300 m koło tej łoziny i będę na swojej stronie. Pośpieszyć nie można było. Mgła gęstniała. Niebo i ziemia jedna szarzyzna. Po gumowymi butami wyczuwałem coraz większe nierówności i chlupotanie błota. Parę razy zapadł mi się but w krowim śladzie, z trudnością go wyciągnąłem. Wreszcie doszedłem, jak mi się zdawało, do najbardziej niebezpiecznego miejsca, do rowu głównego, przechodzącego wzdłuż łąk. W pewnym momencie stanąłem na chwiejącej się kępce. Następnego miejsca na zrobienie kroku nie można było zbadać. W ręku nie miałem nawet źdźbła. Wyciągnąłem nogę przed siebie. Niczego nie mogłem dotknąć. Ach, żeby tak kawałek tyczki, bodaj kija. Wyciągnąłem z kieszeni zapałki. Niewiele się przydały, wiatr natychmiast gasił, a gęsta mgła uniemożliwiała widzenie. Nocowanie na kępie i do tego na stojąco — zadanie wcale niełatwe. Dobrze ci, a masz bezbożniku!

Ostrożnie próbowałem z prawej i lewej strony sposobu zejścia z kępy. Natrafiłem na gałąź, przy pomocy której badałem nierówności gruntu.

Wreszcie wyczerpany dotarłem do głównego rowu. Tu była połowa drogi. Wiedziałem, że równe 3 m wypełnione wodą. W tych warunkach i w tym miejscu był nie do przebycia. Mostka nie wiadomo gdzie szukać, ani leżących na rowie żerdzi. Zdecydowałem się wykonać skok na oślep. Jeżeli wpadnę, to i tak do domu mam niedaleko. Widzę pokój, przytulnie, ciepło... Hop! Rękami dałem nura w błoto, nogi ugrzęzły w mule. Nie zamokłem, jestem na drugim brzegu. Idę. Pod nogami łąka suchsza. Wreszcie pole. Czas mija, droga się dłuży. Wsi ani widać, ani słychać — szczere pole. Ogarnia mnie złość na samego siebie. Kto drogę prostuje — ten w domu nie nocuje — znęcam się sam nad sobą.

Muszę wreszcie gdzieś dojść... O godzinie piątej nad ranem byłem w domu. Opowiedziałem o swoich przygodach żonie. Zamiast współczucia, usłyszałem wymówki i gorzką ironię: — Ojciec dzieciom chodzi nawracać i uświadamiać chłopów. A utop się wreszcie, utop. Będę wiedziała, żem sama, że jedno zmartwienie z głowy mi spadnie.

* * *

Nasza wiejska świetlica zaciekała, a po pewnym czasie runął w niej dach. Stało się to akurat w czasie zabawy zorganizowanej przez LPŻ. Całe szczęście, że nikt nie został poturbowany. Świetlicę trzeba było naprawić. Kino nie przyjeżdżało, nie było gdzie urządzać zabawy, ja nie miałem gdzie wystawić sztuczki Janiny Porazińskiej „Zaśnij oczko". Coś trzeba było robić z tą świetlicą. Jako radny i przewodniczący Komisji Oświaty i Kultury w Prezydium GRN składałem wnioski i interpelacje, ale bez skutku. Brak środków — to jedyna i wystarczająca odpowiedź. Na zebraniu wiejskim wystąpiłem z apelem. — Ratujmy naszą świetlicę! Każda żywa dusza we wsi niech złoży chociaż cegiełkę, a powstanie dom, niech da złotówkę, a będzie dach.

Został powołany Komitet Remontowy. Ob. Lisek został prezesem, ja sekretarzem. Dorośli i dzieci zostali poruszeni sprawą remontu. Posypały się złotówki, od dorosłych dziesiątki. Zebrało się ponad 1.000 zł. Prezes Komitetu zakupił materiał, a pod jego kierunkiem młodzież zabrała się do roboty. W czasie remontu okazało się, że trzeba usunąć jedną ścianę, zastąpić nową, wymienić większą część dachu. Młodzież szkolna zbierała złom, butelki, aby prędzej nareperować świetlicę, żeby było kino, żeby „odegrać" sztuczkę. Była nadzieja, że na Boże Narodzenie remont będzie zakończony, ale okazało się, że jeszcze trzeba wymienić kawał dachu. Terminu nie można było podać, bo był brak pieniędzy i materiału. Wreszcie po Nowym Roku Gromadzka Rada z nowego budżetu wyasygnowała około 2 tysiące zł i na wiosnę remont został zakończony.

W świeżo odmalowanej, pachnącej farbami sali odbywała się premiera „Zaśnij-oczko". Publiczności nie było za wiele. Kto tam na dziecinne przedstawienie pójdzie? Alboż dzieciuchy co pokażą? Wstęp był za darmo. Składano dobrowolne datki. Przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego wpisywał te datki na listę ofiarodawców. Zebrało się tego bilonu ponad 100 zł. A przedstawienie wypadło na „sto dwa". Marysia i macocha wspaniale odegrały swe role. Nawet jabłoń z bombkami choinkowymi poruszała się jak żywa i studnia cudownie zapadła się pod ziemię i ta kochana owieczka — wszyscy mieli łzy w oczach — wyratowała sierotkę. Powtórzyliśmy jeszcze raz przedstawienie przy zatłoczonej sali. Goście byli z okolicznych wsi.

Zachęcony powodzeniem pojechałem z występem do Mokrego i do Nastuzina. Wszędzie to samo gorące przyjęcie. Zrozumiałem, że o stopniu powodzenia jakiejś imprezy, decyduje stopień jej przygotowania. Za każdym razem widownia stawała się kulturalniejsza. Po zakończeniu sypały się naręcza kwiatów. Patrząc na to myślałem: wszystko da się zrobić, tylko trzeba pracy, pracy.

Ja osobiście również miałem dużo satysfakcji, gdy przewodniczący RZS podziękował mi za dobrą radę zasiania brukwi. Mieli dobry dochód.

SPOŁECZNY ORGANIZATOR ŻYCIA KULTURALNEGO

JERZY SROKA

NASZ ośmiogodzinny dzień pracy byłby doskonałym i wielce interesującym przedmiotem badań ekonomisty i socjologa, gdyby któryś z nich zajął się tym tematem na serio. Wdzięczne pole do działania miałby również ten, kto z urzędu czy amatorstwa zajmuje się organizowaniem życia kulturalnego środowiska, szczególnie w małych miastach, miasteczkach i osadach. Ktoś, kogo bym nazwał społecznym przodownikiem kultury, społecznym organizatorem życia kulturalnego środowiska.

Publiczną tajemnicą jest fakt, że w czasie ustawowych ośmiu godzin pracy wykonujemy szereg czynności, nie mających absolutnie nic wspólnego z pracą zawodową. Nie dokonuję tu przysłowiowego „odkrycia Ameryki", sygnalizuję tylko zjawisko społeczne, do którego przywykliśmy od lat do tego stopnia, że nie zwracamy nań specjalnej uwagi, że uważamy ten stan rzeczy za normalny, oczywisty. Nikogo to nie gorszy ani też oburza. — Nie za nas się to zaczęło i nie za nas skończy — zwykł mawiać pewien znajomy staruszek — emeryt.

Pomijam takie czynności jak: spożywanie drugiego śniadania, palenie papierosów, wypełnianie kuponów gier liczbowych, „wyskok" po zakupy czy celem załatwienia drobnych prywatnych spraw. Pomijam także statystyczne wyliczenia ilości roboczogodzin przypadających na te czynności w skali krajowej dziennie, tygodniowo, miesięcznie, rocznie. Wiem natomiast z własnych, długoletnich obserwacji, (które być może prowadzą do śmiałych uogólnień) że nie ma w naszym kraju takiego zakładu, instytucji, biura, w których podczas godzin pracy nie czyta się gazet i nie dyskutuje na różnorodne tematy. W biurze czy przy warsztacie opowiadamy sobie o codziennych troskach i kłopotach, rozprawiamy o ostatnich zarządzeniach dyrekcji, dyskutujemy o polityce, życiu gospodarczym, sprawach kulturalnych. Nie chcę być źle zrozumiany, jak również nie mam zamiaru być autorem jakichkolwiek denuncjacji i twierdzeń, że w naszym kraju nikt nic nie robi tylko dyskutuje. Pragnę tylko zwrócić uwagę na istniejące zjawisko społeczne i zająć się przy sposobności pewnym aspektem tego zjawiska.

Sprawy kulturalne są przedmiotem żywych dyskusji i sporów. W czasie pracy rozmawiamy z zainteresowaniem o filmach które były, są lub będą grane w miejscowym kinie. Krytykujemy repertuar filmów i gościnne występy estradowych zespołów. Wspominamy fragmenty popularnych audycji radiowych, telewizyjnych. Narzekamy na nudę i brak rozrywek kulturalnych, odczuwany na prowincji szczególnie w dni świąteczne. Tak się już układa, że o tych sprawach najczęściej i najchętniej mówimy właśnie w biurze czy zakładzie pracy podczas przerwy obiadowej, przy śniadaniowej herbacie, papierosie, z okazji wizyty w sąsiednim pokoju, bądź też przy załatwianiu sprawy w innym dziale.

Wybierając się do kina, teatru, na występ estradowy zasięgamy opinii o filmie czy aktorach u swych kolegów, którzy w naszym przekonaniu znają się na tym lepiej od nas, albo też utwierdzą nas w słuszności naszej decyzji i wyborze rozrywki. Są oni w tym wypadku pewnego rodzaju autorytetami w sprawach kultury i sztuki. Tych właśnie ludzi, którzy w danym zakładzie pracy cieszą się wspomnianym autorytetem nazwałbym „społecznymi przodownikami kultury, społecznymi organizatorami życia kulturalnego". Ich zdanie ma bowiem niemały wpływ na tzw. opinię publiczną w sprawach kulturalnych. Powodzenie takiej czy innej imprezy kulturalnej, organizowanej w małym mieście, miasteczku i osadzie w dużej mierze zależy od ich zdania, wypowiedzi, krytyki. Ci właśnie ludzie mogliby w sposób bardzo skuteczny spełniać rolę społecznego aktywu kulturalnego, gdyby odpowiednie czynniki znalazły właściwą formę kontaktów z tymże aktywem. Najlepsza byłaby forma przynosząca obopólne korzyści, dając w efekcie poważne wyniki w pracy, życiu kulturalnym różnych środowisk.

Uważam, iż do realizacji pięknego hasła „kultura dla szerokich mas" potrzebni są ludzie, którzy by tę kulturę propagowali w życiu codziennym a nie od święta. Którzy by organizowali różnorodne formy życia kulturalnego podobnie jak to czynią fachowcy organizujący nasze życie gospodarcze. Etatowi pracownicy resortu kultury nie są w stanie dotrzeć do szerokich kręgów społeczeństwa, do różnych środowisk. Mogą natomiast ułatwić działanie i udzielić pomocy społecznym działaczom kulturalnym, którzy niejednokrotnie w piętkę gonią. Stała ofiarna kadra tych działaczy oczywiście z zainteresowania i z prawdziwego zdarzenia a nie z obowiązku służbowego, funkcji organizacyjnej na pewno sprostałaby wymaganiom i potrzebom społecznym w tej dziedzinie naszego życia.

Życie kulturalne prowincji znamionuje żywiołowość. Nieraz na dobrej, wartościowej artystycznie imprezie widownia świeci pustkami. Natomiast wątpliwej wartości program (nie jest to tylko moje osobiste zdanie) artystyczny cieszy się ogromnym powodzeniem. Że są po tym utyskiwania, narzekania na szmirę itp. to już jak mawiał Kipling „całkiem inna historia". Niejednokrotnie mieszkańców powiatowego miasta ogarnia jakaś zbiorowa psychoza zobaczenia takiego właśnie a nie innego filmu, występu estradowego, wieczoru autorskiego. Oto przykłady.

W grudniu ubiegłego roku mieszkańcy Białej Podlaskiej przeżywali lokalną sensację. Były nią występy aktorów warszawskich z radiowej podwieczorkowej estrady. Chociaż nie było afiszy, plakatów oznajmiających, że w dniu... w sali... o godz... to jednak widownia kina „Związkowiec" na przedmieściu Wola, licząca około 500 miejsc, na pięciu (!) dwugodzinnych spektaklach od godz. 11 do 23 wypełniona

→

OD REDAKCJI

Zgodnie z zapowiedzią w numerze 6 „Kameny", drukujemy w dalszym ciągu ciekawsze wypowiedzi z prac nadesłanych na nasz konkurs pod hasłem „Kultura w powiecie i w gromadzie".

była po brzegi. Dla wielu osób zabrakło biletów. Większość publiczności, wśród której nie brak było mieszkańców okolicznych osad i miasteczek, opuszczała widownię zawiedziona, rozczarowana. Oglądali bowiem i słyszeli znane już i ograne numery podwieczorkowego programu estrady radiowej.

Kiedy Teatr Osterwy wystawiał w Białej „Przepiórreczkę" Stefana Żeromskiego, licznie przybyła publiczność z niecierpliwością oczekiwała ukazania się na scenie Jana Machulskiego. Niestety. W roli Przełęckiego wystąpił inny aktor. Na „Powrocie Przełęckiego" frekwencja nie dopisała. Tym razem dopisał Jan Machulski, który wystąpił w roli tytułowej. Nie wszyscy jednak chcieli „ryzykować", nie mając całkowitej pewności, że wystąpi ten aktor.

Zdawałoby się, że ludzie którzy chętnie dyskutują na tematy filmu, teatru, literatury powinni równie chętnie i z dużą satysfakcją uczestniczyć w odczytach, wieczorach, spotkaniach autorskich, spektaklach teatralnych. Rzeczywistość wykazuje wręcz odwrotne zjawisko. O tym ile starań i zabiegów kosztuje zapewnienie doprawdy skromnej ilości uczestników takiego spotkania czy wieczoru powiedzieć mogą organizatorzy tych imprez kulturalnych (do których czasem należę). Jestem pewien, że przy pomocy społecznego aktywu kulturalnego, środowiskowych „autorytetów d/s kultury" można by było wiele zdziałać w tej sytuacji dobrego. W tym miejscu muszę z przykrością stwierdzić, że na spotkaniach i wieczorach autorskich, organizowanych przez PDK z liczną i znakomitą plejadą znanych osobistości ze świata kultury i nauki nie spotyka się nauczycieli szkół podstawowych i średnich. W sali „Pod Wieżą" nie zjawiają się również przedstawiciele miejscowej inteligencji. Stałymi uczestnikami tego typu imprez jest garstka młodzieży i starsze pokolenie pedagogów, którzy m. in. mnie b. uczniowi bialskich szkół przekazywali swe upodobania i zainteresowania literaturą, sztuką (za co jestem im ogromnie i niezmiernie wdzięczny). Zastanawiałem się nieraz, czy warto tak „na siłę" forsować te spotkania i wieczory. Twierdzę, że warto. Przykro mi tylko, że tak mało mieszkańców bierze w nich udział. Czyja w tym jest wina? Organizatorów czyli znikomej grupy miejscowych działaczy kulturalnych? A może właśnie brak poparcia „autorytetów" — społecznego aktywu przodowników kultury?

Jestem skłonny twierdzić, że wielu mieszkańców Białej Podlaskiej narzekających (chyba z przyzwyczajenia) na brak rozrywek kulturalnych nie wie co dzieje się na ich własnym „kulturalnym podwórku". A przecież w Białej Podlaskiej istnieją i działają amatorskie zespoły teatralne (Teatr Ziemi Podlaskiej i zespoły szkół średnich), taneczne, chóralne, Towarzystwo Miłośników Astronomii, Koło Bialszczan, klub radioamatorów-krótkofalowców, klub fotografików, organizowane są wieczory i spotkania autorskie, istnieje dyskusyjny klub filmowy, nie mówiąc już o dwu kinach, w których zapalony kinoman może oglądać codziennie inny film (kino „Pokój" zmienia program trzy razy w tygodniu, a kino „Związkowiec" dwa razy + seans klubu dyskusyjnego). Co na to wszystko mają powiedzieć mieszkańcy pobliskich miasteczek takich jak Terespol, Janów Podlaski, Łomazy, Piszczac czy nawet Międzyrzec Podlaski — albo mieszkańcy większych wsi i osad w powiecie bialskim? W Białej jest mała przytulna kawiarenka (buduje się nową, dużą). Przyjeżdżają tutaj zespoły estradowe, Teatr Osterwy z Lublina, niektórzy mieszkańcy oglądają już program telewizyjny...

Bialscy melomani oczekują z utęsknieniem występów filharmonii lubelskiej. Niestety nikt nie podejmie się organizacji tego typu imprezy nie mając pewności, że dopisze frekwencja. Swego czasu z okazji 15-lecia „Sztandaru Ludu" wystąpił Wojciech Siemion ze swą „Wieżą malowaną". Na obszernej widowni sali Technikum Ekonomicznego w Białej Podlaskiej było, wstyd powiedzieć, tylko dwadzieścia kilka osób. Czy przy takiej frekwencji można myśleć o organizowaniu wieczorów recytatorskich znanych polskich aktorów?

Mimo wszystko jestem pełen optymizmu i ponawiam swą propozycję (oczywiście jak najbardziej dyskusyjną) na temat społecznych przodowników kultury, społecznych organizatorów życia kulturalnego. Oto w syntetycznym skrócie sylwetka i sposób działania tych osób.

Informują one swe środowisko o formach pracy, imprezach kulturalnych organizowanych przez DK, ułatwiają i propagują udział w tych imprezach, propagują również dobrą książkę, sztukę teatralną, film, zespół estradowy, rozbudzają zainteresowania kulturalne środowiska, w którym pracują. Są także czułym głosem opinii środowiska, kształtując również tę opinię z pożytkiem społecznym.

Są w stałym kontakcie z wydziałem kultury rady narodowej i Domem Kultury, korzystając z wszechstronnej opieki i pomocy. Biorą udział w specjalnych imprezach, organizowanych wyłącznie dla nich jako pewnego rodzaju forma nagrody tj. biorą udział w (odpłatnych oczywiście) wycieczkach do większych ośrodków miejskich do teatru, muzeum, domu kultury, czy nawet do atelier filmowego, wydawnictw itp.

Na zakończenie chciałbym dodać, że nie jestem etatowym pracownikiem resortu kultury, ale pracuję w budownictwie jako ekonomista.

WYJĄTKOWA SZANSA

JÓZEF ZIĘBA

NA podjęcie inicjatywy ożywienia ruchu kulturalno-oświatowego poprzez szkołę w powiecie puławskim oczekiwało się już od dłuższego czasu. Puławy bowiem mają wyjątkowo dogodne warunki dla rozpoczęcia takiej akcji. Wiadomo, że sprawa ta zaczęła niepokoić umysły miejscowych działaczy zaraz po otrzymaniu pierwszych wiadomości o tzw. „eksperymencie lubartowskim". Jednak magia półtora miliona przeznaczonego na ten cel w powiecie lubartowskim i niemożliwość znalezienia takiej sumy we własnym budżecie onieśmielała, a nawet na pewien czas kazała zarzucić myśl o „własnym eksperymencie". Czas jednak przynosił nowe wieści o doświadczeniach chełmskich i o tzw. „eksperymencie rzeszowskim" polegającym na wprowadzeniu na wieś kin oświatowych. Kino oświatowe zdawało się być czymś bardziej atrakcyjnym niż wykład TWP, święcący triumfy w powiecie chełmskim. Rzecznikiem tego rozwiązania był Powiatowy Dom Kultury. Zdobyto już pierwsze aparaty projekcyjne. W tym czasie Inspektorat Oświaty wystąpił z propozycją szkoły jako ośrodka życia kulturalno-oświatowego na wsi.

Dobrze się stało, że właśnie Inspektorat Oświaty znający najlepiej możliwości szkół i pracującej w nich kadry nauczycielskiej przystąpił do tej akcji. Fakt ten w dużej mierze gwarantuje powodzenie rozpoczynającej się bardzo ważnej dla całego powiatu sprawy. Trzeba tu dodać, że Inspektorat energicznie przystąpił do rzeczy, prowokując w dniach 4 i 5 kwietnia dwa spotkania. Pierwsze wstępne przeprowadzono w Komitecie Powiatowym PZPR, a drugie ze wszystkimi kierownikami szkół podstawowych z powiatu puławskiego. Miały one charakter wstępnych informacji oraz zbierania danych na temat możliwości wprowadzenia w życie postawionej propozycji. Przy okazji tych spotkań ujawniły się główne problemy całej sprawy, właśnie nad jednym z nich chciałbym się nieco zatrzymać.. Chodzi o puławskie instytuty. Wiadomo, że placówki te, posiadające na swym koncie poważne osiągnięcia naukowe w różnych dziedzinach wiedzy rolniczej, jakoś niezbyt wielką wagę przykładały do popularyzacji wiedzy wśród indywidualnych gospodarstw chłopskich z okolicznych wsi. Wieś puławska mimo swego sąsiedztwa prawie o miedzę z poletkami i laboratoriami instytutów dotychczas nie odczuwa zbytnio ich obecności. W fakcie tym niektórzy chcieliby widzieć niechęć pracowników nauki do wprowadzania w życie swoich osiągnięć i do pokonywania związanych z tym oporów i trudności. Wydaje mi się, że sąd ten jest tylko częściowo słuszny. Nie jestem rolnikiem i nie wiem na ile dysproporcje między laboratorium i poletkiem doświadczalnym, a chłopskim zagonem są wielkie i na ile rejony te udałoby się do siebie zbliżyć. Wiem jednak, że w wielu od kilku lat działających uniwersytetach powszechnych o specjalizacji rolnej niejeden asystent, a nawet samodzielny pracownik naukowy musi się sporo napocić, by uczciwie odpowiedzieć na wszystkie pytania postawione przez chłopów w czasie dyskusji. Wiem również, że słuchacze uniwersytetów powszechnych zakładają własne poletka doświadczalne, usiłując sprawdzić zdobytą na wykładach wiedzę. Pęd do wiedzy rolniczej wśród chłopów jest duży, bo można sprawdzić na własnym polu jej skutki. Dlaczego więc puławskie instytuty nie korzystają dotychczas z tej sprzyjającej okoliczności i nie popularyzują posiadanego stanu wiedzy rolniczej?

WYSUWAJĄC to pytanie nie można zapominać, że instytuty mają przede wszystkim przed sobą cele naukowo-badawcze. Mnogość pytań pozostających bez odpowiedzi domaga się od ludzi nauki dużej koncentracji uwagi na jednym problemie i przeprowadzania wielu nie zawsze udanych doświadczeń. Czy doświadczenia te można przenieść z laboratorium i poletka bezpośrednio na chłopski zagon? Chyba nie, bo każda nieudana próba może poderwać w oczach chłopa zaufanie do wszelkich sprawdzonych już zdobyczy wiedzy rolniczej.

Niesłuszne więc byłoby żądać od naukowców, by przenieśli się z laboratorium i małego zagonka doświadczalnego poletka do chłopskiej zagrody. Takie nadzieje zdaje się żywią niektórzy działacze przystępujący do szerokiego upowszechniania wiedzy na wsi puławskiej. Czy więc nie istnieją żadne możliwości eksploatacji naukowego środowiska puławskich instytutów? Wydaje mi się, że środowisko to stwarza dla podjętej przez Inspektorat Oświaty akcji wyjątkową szansę. Szansę tę należy jedynie rozsądnie wykorzystać. Jeśli władze miejscowe lub wojewódzkie, chcące dopomóc Puławom w realizacji podjętego zadania, wystąpią do instytutów z niewłaściwymi żądaniami, by te orientowały swą działalność na popularyzację, to z góry należy przewidzieć niepowodzenie tego przedsięwzięcia. Rozwiązanie tej sprawy widzę w innych sposobach.

Pierwsze, to by Towarzystwo Wiedzy Powszechnej specjalizujące się w upowszechnianiu wszelkiej wiedzy, włączając się do akcji ożywienia życia kulturalno-oświatowego w powiecie puławskim, orientowało swoją działalność w dużej mierze na możliwość wykorzystania w swej pracy środowisk naukowych poszczególnych instytutów. Oczywiście nie należy ubiegać się o zdobycie dla swych celów wybitnych profesorów, ale z dużym powodzeniem mogą sprostać temu przecież i młodzi pracownicy naukowi.

Rozwiązanie to nie wydaje mi się jednak w wypadku Puław najszczęśliwsze.

Próbowałbym mimo przedłożonych uprzednio trudności zainteresować sprawą popularyzacji same instytuty. Po prostu, by placówki te stały się współpartnerami ważnej dla powiatu i rolnictwa gry. A chodzi tu przecież o dużą stawkę wpływania na przeobrażenie kulturalne i społeczne wsi puławskiej.

Zastanawiam się, czy nie należałoby postulować, by obok laboratoriów i poletek nie powołać (jeśli ich nie ma) jakichś małych komórek do popularyzacji dotychczasowych, sprawdzonych już osiągnięć instytutów i wiedzy rolniczej w ogóle. Właśnie taka komórka mogłaby się włączyć do akcji Inspektoratu Oświaty. Ośrodki działalności kulturalno-oświatowej przy szkołach stwarzałyby odpowiednie warunki do popularyzacji. Jest to niezbędne, by zaoszczędzić włączającym się w akcję ludziom nauki, cennej energii. Podejmujący „akcję szkoła" działacze puławscy powinni przemyśleć tę sprawę i dość szybko zainteresować nią instytuty. Te z kolei mogłyby wystąpić z odpowiednimi wnioskami do swych władz nadrzędnych w celu dofinansowania dotychczasowej działalności.

JEŚLI dodamy do tych możliwości to, że już w chwili obecnej niektóre zakłady pracy deklarują pomoc w doposażeniu ośrodków działalności kulturalno-oświatowej, i że organizacje społeczne takie jak koła gospodyń wiejskich, ZMW, kółka rolnicze mogą poszczycić się poważnymi osiągnięciami w pracy na wsi, to należy spodziewać się, że wytypowane ośrodki od jesieni rozpoczną tętnić bujnym życiem. Dobrze się stało, że zaczęto myśleć o całej sprawie na kilka miesięcy wcześniej, gdyż pozostaje sporo czasu na solidne przygotowanie akcji. Spraw przygotowawczych jest przecież niemało. Trzeba bowiem ustalić jakiś jeden operatywny środek dyspozycji (może to być np. PDK), trzeba zebrać dane o możliwościach oddziaływania na teren poszczególnych organizacji, opracować wspólny program i plan działania; wytypować ośrodki, znaleźć środki finansowe na doposażenie tych ośrodków i na zorganizowanie dla nich sensownej pomocy, przygotować kierowników ośrodków do podjęcia działalności. Również dużego wysiłku (jak to starałem się przedstawić) będzie wymagała od organizatorów sprawa włączenia do tej akcji instytutów. Przyszła działalność ośrodków pracy k. o. wsparta stałymi projekcjami filmów oświatowych i włączeniem się instytutów każe oczekiwać na bardzo poważne wyniki.

Oczywiście wyniki te będą przede wszystkim uzależnione od sprawnego zmobilizowania wszystkich istniejących możliwości.

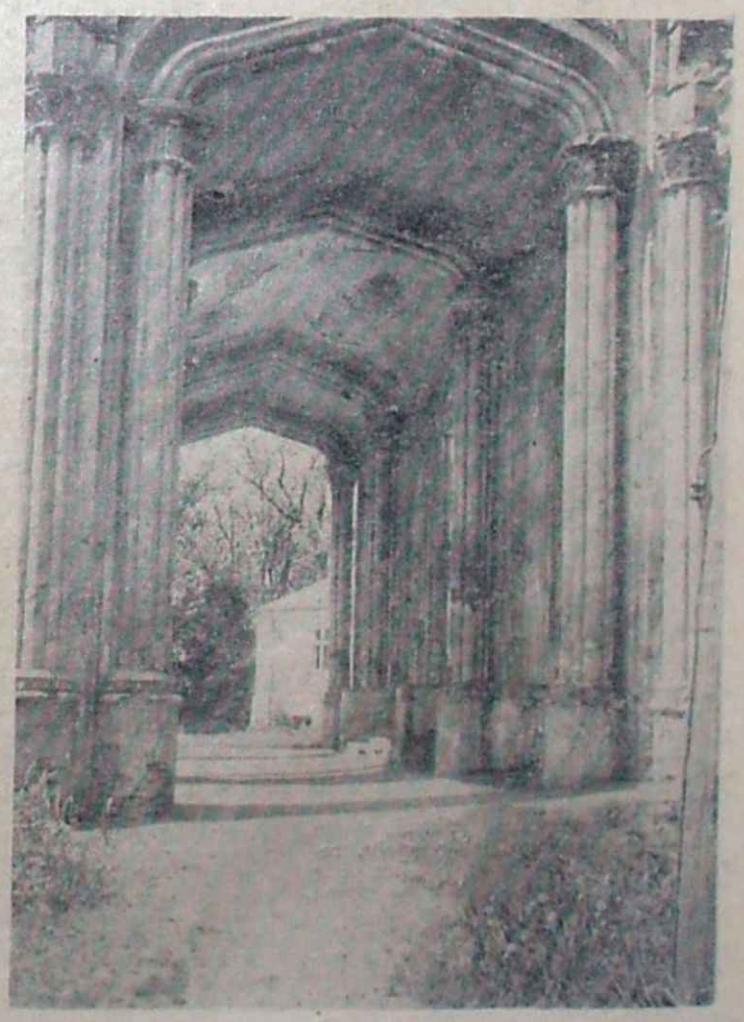

NEOGOTYCKA BRAMA WJAZDOWA PAŁACU PACA W DOWSPUDZIE

Artykuł na temat zabytków Białostocczyzny ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Kameny".

Listy o poezji (9)

Pedanci nowoczesności

ANNA KAMIEŃSKA

„Nie wszyscy pedanci w sztuce reprezentują postawę akademicką. Istnieją pedanci awangardziści. Żadna szkoła nie ma monopolu na piękno".

Norbert Wiener

NASZA poezja współczesna jest ciekawa i różnorodna. Zarysowują się w niej różne postawy, różne style i różne indywidualności. To niewątpliwie najbogatszy, najbardziej urodzajny dział naszej literatury. Stosunkowo najliczniejszą grupę stanowią dziś w poezji młodzi. Jest to zjawisko normalne. Wielu z nich dopiero próbuje swych sił, wielu odejdzie do innych rodzajów twórczości, do prozy i do dramatu. Niektórzy zapiszą poezję tylko do grzechów swej młodości. Ci młodzi twórcy, których liczba zdaje się przerażać niektórych działaczy i wydawców, nie mają mimo pozorów łatwego życia. Oczywiście istnieje specjalne wydawnictwo poświęcone młodym. Wydaje ono almanach literacki i kilka debiutów rocznie. Są też w wydawnictwach prowincjonalnych jakie takie możliwości wydawania poezji. Starzy pisarze powiedzą, że młodzi mają dzisiaj jedwabne życie i że przed wojną Mortkowicz nie płacił poetom za wiersze z góry, jak Polska Ludowa. Nie chuchało się tak zawsze na młodych jak teraz, kiedy wszyscy się ich troszkę boją. A przecież nie o to chodzi. Ich sytuacja jako artystów jest trudna.

Starsi pisarze osiągnęli już jakieś swoje oblicza, jakieś twórcze postawy. Młodzi muszą się ich dopiero dorabiać. A tu wszystko na tym świecie już pozaczynano i wszystkiego próbowano. Są młodzi — więc muszą stawiać na oryginalność, na nowoczesność. Kiedy w tym sęk, że ta nowoczesność mocno staniała.

Minął i opadł już ten święty bunt, który był reakcją na ułatwioną i ugrzecznioną poezję „realizmu socjalistycznego", wyśpiewywaną w regularnych, zamkniętych strofach, oczyszczoną z fantazji i wyobraźni, lękającą się wszelkiej dziwności i tajemniczości. Ten model poezji na kilka lat zapanował, współzawodnicząc tylko z poezją post-romantyczną, głoszącą obronę tradycji i postawę historyzmu — przeciwko jedniodniowym hasłom politycznym. Te dwa nurty rywalizując ze sobą poniosły wspólną klęskę. Niedorozwój myśli i zbytek mądrości dziejowej — okazały się dla poezji jednakowo niezdrowe.

Podskórnym nurtem ciekło to wszystko, co nazywano pogardliwie formalizmem, a co było jawną lub zamaskowaną kontynuacją nurtów awangardowych polskiej poezji.

Po roku 1956 ten nurt doszedł ponownie do głosu i posunął sprawy poezji naprzód o wiele, wiele kroków. Niedoceniona i hamowana dotąd poezja Różewicza przemówiła swoim przejmującym krzykiem, dołączyli się doń poeci dojrzewający w ukryciu — Zbigniew Herbert, Miron Białoszewski, Tymoteusz Karpowicz, włączył się ze swoją dziecięcą wyobraźnią Jerzy Harasymowicz.

Odnowili się, odnaleźli swe dawne źrenice poeci starszego pokolenia. Gdy przeglądamy książki poetyckie z tych lat uderza nas „odrodzenie" wielu poetów: Przybosia, Jastruna, Piętaka, Śpiewaka, Szymborskiej, Kubiaka, Słuckiego. Dziś już z perspektywy możemy w pełni ocenić, co świeżego i nowego wnieśli oni wówczas do naszej poezji.

W pochwalnych chórach krytyki lansującej swoich pupilów poetyckich — zatracił się ten ogólny, szeroko pojęty ówczesny renesans naszej poezji. Poeci powracali do swoich źródeł, do swoich początków, nawiązywali często z mozołem urwane nici rozwoju, rekonstruowali wyobraźnię poetycką wyjałowioną przez ogólnie panującą retorykę

Zwyciężył wolny wiersz. Było w tym naprawdę jakieś prostowanie skrępowanych skrzydeł. Sprawa wolnego wiersza wówczas nie była tylko sprawą formy i kroju poetyckiego. Uwalniając się od rygorów piosenkowej strofy — poeci pozwolili sobie na szerszą myśl, zrzucili narzucony schemat myślenia i czucia, schemat ujednoliconej wyobraźni. Usiłowali być sobą, powracać do siebie.

Młodzi poeci, którzy nie mieli do czego nawiązać we własnej twórczości zaczęli wracać do dawno przerwanych, porzuconych prób wczesnej awangardy, futuryzmu, nadrealizmu. Wracali do tych prób ponad głowami kilku już literackich pokoleń. Te powroty były także odświeżające i zapładniające.

Pomysły nowatorskie sprzed lat pięćdziesięciu, sprzed pół wieku — zalśniły nowymi propozycjami. Powrót był odkryciem, mimo że brzmi to paradoksalnie. Ale przecież nigdy nie ma powrotów zupełnych. Przecież całkowicie inna sytuacja ogólnoliteracka zmieniła funkcję i walor dawnych zakurzonych już teorii.

Sztywność i nie zawsze słuszna egzemplifikacja krytyczna teorii awangardowych — nie przeszkodziły temu, że teorie te wydały się nagle znowu dla sztuki aktualne i pożyteczne. Ale to olśnienie ponownym odkryciem znowu minęło. Na tym najlepszym ze światów — nic nie stoi w miejscu. Żadne nowatorstwo nie może być nowatorstwem na czas dłuższy. Nowatorstwo nie może być z samej swej natury nowatorstwem permanentnym. A nie ma chyba nic bardziej smutnego, niż skostniała awangarda i zrutynizowana „nowoczesność". Dziś fala tego pseudo-nowatorstwa rozlała się już tak szeroko wśród najmłodszych poetów i wśród amatorów pióra, że spłyciła się i ukazała swe łachy i mielizny. Sama idea nowatorstwa została jak gdyby w ten sposób skompromitowana.

Może pomyśli ktoś, że przeczę sobie w swoich listach. Dopiero co broniłam prawa do nowoczesności wobec tych czytelników poezji, którym wszystko wydaje się jeszcze zbyt nowe i szokujące. Próbowałam perswadować im, że nowości te są już dostatecznie sędziwe i dostojne, aby mogły być ze spokojem przyjęte i społecznie zaaprobowane. Uzasadniałam potrzebę pewnych wynalazków formalnych i rezygnacji z innych gwoli „nowoczesności". A dziś znowu grymaszę na samą nowoczesność i nie podoba mi się awangarda, skoro wreszcie została przez większość właśnie zaaprobowana.

W naszej poezji pozostało niepokojące zjawisko szantażowania czytelnika nowością i nowatorstwem. Patrzcie, jaki jestem nowoczesny! I małe, puste wierszyki międlą puste słowa. Sypie się sieczka metafor, skojarzeń, dziwności. Słów w wierszu mało, a wydaje się, że jeszcze o wiele za dużo. A wszystko to takie nowoczesne i takie awangardowe! I na tym właśnie polega trudność sytuacji młodych poetów. Awangarda stała się szablonem. Nie można już w tej chwili awangardyzować twórczo. Trzeba przezwyciężyć samą awangardę. Trzeba unowocześnić samą nowoczesność. Trzeba odnowić sens nowatorstwa. Trudna to sprawa, gdy się nie ma wiele do powiedzenia i gdy słów ciągle jest więcej niż myśli.

Słów ciągle jest więcej na świecie niż myśli!

Rozpaczliwe to stwierdzenie i będzie rozpaczliwe i bezwyjściowe tak długo, jak długo poeci zapatrzeni w koniec własnego nosa i zasłuchani w szmery swych trawiących wnętrzności — będą się starali z uporem negować ten wielki, piękny, wspaniały i tragiczny, jak się zdarzy, świat boży.

Powstaje „Reflektor"

KONRAD BIELSKI

Moja przygoda literacka związana z „Reflektorem" rozpoczęła się w roku 1923. Wtedy właśnie ukazał się pierwszy numer tego pisma. O jego początkach i kłopotach związanych z porodem niewiele mogę powiedzieć, gdyż nie przyczyniłem się w niczym do jego powstania. Rodzicem i akuszerem był Wacław Gralewski — ojcem chrzestnym Kazimierz Andrzej Jaworski.

Po próbach z „Młodzieżą", po głośnej historii „Lucifera" — myśl utworzenia dobrego pisma literackiego krążyła nam po głowach. Dwie rzeczy były niezbędne dla powstania pisma: baza finansowa i odpowiedni zespół współpracowników. Budżet takiej imprezy różnił się zdecydowanie od budżetów dzisiejszych czasopism, tak zwanych z prawdziwego zdarzenia. Przede wszystkim odpadały koszty związane z płaceniem honorariów. Swoim ludziom, a ci głównie mieli zapełniać łamy pisma, honorariów się nie płaciło. Utwory swe umieszczali gratis. Następnie odpadały koszty redagowania. Układanie numeru, adiustacja tekstów, korekta itd. — to wszystko wykonywane było we własnym zakresie. Dziś to tak ładnie się nazywa „czyny społeczne".

Wydatek, od którego nie można się już było wykręcić — to papier i drukarnia. Na szczęście istniała instytucja kredytu, no i wyrozumiali i życzliwi ludzie. Pisałem już z okazji „Lucifera" o Stanisławie Wójciku, emerytowanym kapitanie i jego drukarni na Placu Litewskim. Pisałem również o jego wyjątkowej życzliwości i sympatii do poczynań młodych pisarzy. I tym razem nie zawiódł — dał papier i udzielił kredytu i w ten sposób mógł opuścić prasę pierwszy numer „Reflektora".

Ojcem chrzestnym nazwałem Jaworskiego, gdyż on to, w licznych rozmowach z Gralewskim na temat przyszłego pisma — podsunął nazwę „Reflektora". Wtedy tytuły tego rodzaju były modne. Młodzi poeci spod znaku futuryzmu i awangardy lubują się w takich właśnie tytułach. Wystarczy przypomnieć „Saby": (Przyboś) — „Semafory" (Ważyk) — „Zwrotnica" (pismo awangardy krakowskiej). Nic więc dziwnego, że chętnie zgodziliśmy się na tego „Reflektora" — bo to i współcześnie, no i symbol dość wyraźny.

Ciekawe, że sam twórca tej nazwy, początkowo współpracując, później od „Reflektora", gdy on zaczął przybierać zdecydowane oblicze awangardowe, odsunął się zupełnie i, pozostając z nami w osobistej przyjaźni, literacko poszedł zupełnie inną drogą, a po latach założył swoje pismo poetyckie, które nazwał „Kameną".

Ten pierwszy „Reflektor" zdecydowanego oblicza artystycznego jeszcze nie miał. Zgromadził bowiem na swych łamach prawie wszystkich literatów piszących podówczas w Lublinie. Oprócz więc Franciszki Arnsztajnowej, z którą jeszcze nie mieliśmy bliższego kontaktu i nie przypuszczaliśmy, żeby ona w tego rodzaju piśmie chciała figurować, i oprócz Karola Husarskiego, którego nie zaprosiliśmy do współpracy — w tym numerze znaleźli się zasadniczo wszyscy ci, którzy w tym czasie mieli coś do powiedzenia. Poza nami byli już tylko grafomani, tych jak zawsze nie brakowało.

Słowo wstępne miało sprecyzować nasz program artystyczny, a ponieważ tego programu właściwie nie było — więc i ta enuncjacja wypadła blado, mimo mocnych słów. Było tam o chwytaniu życia na gorącym uczynku, o zamiarach przelewania tego wszystkiego w nową, nieznaną formę itd. Najlepiej, bo mocno i dobitnie, wypadło zakończenie: „Przekreślamy spuściznę duchową Słowackiego. Zjadaczy chleba w mordę bić, jeśli ich w aniołów przerobić nie można". Trochę w tym było epaterstwa w stylu futurystów — sporo jeszcze młodopolskich ciągotek. Na czytelnikach zrobiło to jednak pewne wrażenie.

Po tym wstępie zawartość, niezbyt grubego, numeru była dość różnorodna, o charakterze wybitnie eklektycznym. Daleko odbiegała od wyraźnego oblicza późniejszych „Reflektorów" z roku 1925.

Poezję reprezentowali Gralewski, Jaworski i ja. Po jednym utworze. Trzeba przyznać, że każdy z tych wierszy miał indywidualne piętno autora i wzajemnie były do siebie niepodobne. Ja dałem wiersz pt. „Do przyjaciół". Dość mocny w wyrazie. Kończył się taką pointą: „lecz wierzę ... że któryś z nas nareszcie, na nieprawym łożu, potwornego nad ranem spłodzi antychrysta". — To osobliwe posłannictwo i w ogóle ten wiersz podobał się przyjaciołom, którym zresztą był dedykowany.

Był jeszcze długi artykuł Tadeusza Bocheńskiego o charakterze programowym pt. „Spontanizm" — podtytuł: myśli o duszy i sztuce — drukowany później jako osobna broszura. Tutaj jednak muszę zaznaczyć, że były to poglądy wyłącznie Bocheńskiego. Nikt z nas już wtedy tego programu nie podzielał. Rzecz była umieszczona po przyjacielsku, na prawach gościnności.

Władek Daszewski, znajdujący się już wtedy pod urokiem Majakowskiego, z dużym poczuciem humoru, złośliwie i dowcipnie, sparodiował nam liczne utwory z tego „Reflektora". Spontanizm tak wyglądał w jego parodystycznej redakcji. „Bochenizm — czyli enanizm nusystematyzowany, co myśli dusza u pana Tadeusza".

To, co jednak predestynuje niewątpliwie ten pierwszy numer „Reflektora" do stronic historii literatury — to zawarty w nim debiut Józefa Czechowicza: „Opowieść o papierowej koronie". Złośliwym zbiegiem okoliczności, skutkiem redakcyjnego przeoczenia — nie podpisano autora. Debiut był anonimowy.

Lojalnie muszę przyznać, żeśmy ani tego utworu, ani przyszłych możliwości Czechowicza nie doceniali. Wśród dosyć licznych wierszy, które nam wtedy zaprodukował, nie znaleźliśmy ani jednego, który byśmy uznali za warty druku. I chyba nie popełniliśmy omyłki, bo to były rzeczy naprawdę bardzo słabe. Nie grafomania, broń Boże — czuło się pod tym nurtem poetę, ale ten nurt był wtedy płytki, naiwny i nudny. Zresztą sam Czechowicz nie miał do nas pretensji, a potem zniszczył te rymowane pierwociny i nie chciał się do nich przyznać.

„Opowieść o papierowej koronie" miała swoją osobliwą historię. Był to utwór na wskroś osobisty. W Czechowiczu odezwał się przyszły znakomity liryk. Wypowiedział tu swoje credo arstystyczne i życiowe. Wyjawił też swe ówczesne — bardzo młodzieńcze — marzenia i tęsknoty. I doprawdy dziś, gdy po latach czytam znów ten utwór — to widzę, że już wtedy był tu, in statu nascendi, cały przyszły Czechowicz. Nawet jego swoiste obsesje seksualne.

„Papierowa korona", zanim ukazała się w druku, była w miarę powstawania wielokrotnie czytana przyjaciołom. Prowadziliśmy na jej temat ożywione rozmowy i dyskusje. Toteż nieobca nam była każda postać tam występująca, każdy podtekst i metafora.

Czechowicz wtedy dużo opowiadał o Słobódce, tej wsi na dalekiej Wileńszczyźnie, gdzie otrzymał pierwszą posadę nauczyciela. Przecież część akcji „Opowieści" rozgrywa się właśnie w Słobódce. Czechowicz wyczarował zjawę jakiegoś uroczego zakątka, gdzie przyroda i ludzie, idealnie zharmonizowani stanowili oazę poezji i miłości. Oczywiście to wszystko nie miało nic wspólnego z prawdziwą Słobódką, brudną i obskurną wsią — lecz jestem pewien, że sam Czechowicz już wtedy nie orientował się, która z Słobódek naprawdę istnieje i był skłonny wierzyć w realność tej wymyślonej.

W każdym razie w naszym przyjacielskim gronie uznaliśmy „Opowieść" za duże osiągnięcie i na tej podstawie wróżyliśmy Józiowi dużą przyszłość w dziedzinie prozy literackiej. Niewiele czasu upynęło, jak sami przekonaliśmy się, że byliśmy w zasadniczym błędzie.

Nie wiem dzisiaj, jaki był nakład tego pierwszego „Reflektora", ani też jaki zasięg — gdzie dotarł i do kogo. Pewną ilość egzemplarzy rozdało się ludziom życzliwym i zaprzyjaźnionym. Jak był zorganizowany kolportaż, ile egzemplarzy sprzedano — też nie wiem. Przypuszczam, że niewiele. W każdym razie kapitan Wójcik nie uzyskał pokrycia za swoje wkłady. Nie okazał wielkiego zdziwienia; znał dobrze swoich klientów — poetów i miał do nich słabość. Ostateczny rozrachunek nastąpił w knajpie, skromny jakościowo, ale bogaty ilościowo. Po którymś tam kieliszku zacny drukarz orzekł, że jest ostatecznie skwitowany i należności nasze skreśla.

Efekt propagandowy też był niewielki. Pismo rozeszło się właściwie tylko w Lublinie. Do kół intelektualnych stolicy nie dotarło wcale. Oczywiście recenzji nie było. Nikt nas nie chwalił, nikt nie atakował. A takie milczenie jest dla autorów specjalnie przykre.

Odezwał się wreszcie jeden adwersarz. W endeckim „Głosie Lubelskim" pisywał stale takie aktualne wierszyki niejaki Stanisław Żyszkowski, podpisujący się kryptonimem „Eszet" — stały tytuł tej rubryki był „Różowy balonik". „Głos" chciał nas widocznie pognębić i zlekceważyć, toteż polecił temu panu, by wykpił i ośmieszył „Reflektora". I rzeczywiście ukazał się dość długi wierszyk, który ordynarnie i niedowcipnie rozprawił się z nami. Treści już nie pamiętam, ale były tam porównania naszych wierszy do ryku osła itp.

Na to postanowiliśmy odpowiedzieć i walczyć taką samą bronią. Gralewski zredagował odpowiedni wierszyk, który chętnie umieściła „Ziemia Lubelska". Przypominam sobie taki zwrot:

co się tylko w mieście zdarzy
w rym ubiera częstochowski,
że poezją jest ryk osła —
dowód tego pan Żyszkowski —
nawet woźny redakcyjny
rzekł mi w bramie dzisiaj z rana:
„zamiast głowy ma balonik
pan Żyszkowski, proszę pana".

(Dokończenie na str. 16)

Oczy na wschód

(Dokończenie ze str. 4)

teligenckich, wykazała dosyć niepokojące tendencje „nowatorskie" niektórych środowisk, tendencje, które bankrutują przy tradycyjnych i okrzyczanych za „przestarzałe" formach pracy chociażby Lubelskiego Domu Kultury. Mam w tej chwili na myśli pokaz młodzieżowych i dziecięcych zespołów tego Domu wobec spektaklu „Drenu" z Ghelderodem w programie. Czy to jest „nowoczesność" właściwie pojęta? Nie znosi ona amatorszczyzny. Nie znosi snobistycznych ciągot i wszelkiej maniery. Na Ghelderode może z drżeniem serca poważyć się Teatr Współczesny w Warszawie, może kreować jego role Siemion i Holoubek, ale w żadnym wypadku przemili zresztą medycy lubelscy. Czy to oznacza, że prawo do eksperymentu ma tylko warszawska „Stodoła" i kilku renomowanych artystów i reżyserów? Nie, na pewno nie. Ale noblesse oblige. Eksperyment wymaga nie tylko szczerych chęci, ale i szczerych talentów, a nade wszystko olbrzymiej pracy. Siemion na pewno nigdy nie będzie świetnym lekarzem; i na pewno mało który lubelski lekarz in spe marzy poważnie o karierze Siemiona.

Województwo lubelskie jest województwem symptomatycznym. Wiele się ostatnio pisze i mówi o koordynacji. Komisja koordynacyjna w Lublinie przeczy zdrowemu rozsądkowi, a w powiatach, np. w powiecie puławskim, jest jeszcze gorzej. To samo dotyczy zresztą Komisji Kultury (na marginesie: jak długo jeszcze będzie straszył swoim biurokratyzmem ten dualizm?). Nagrody wojewódzkie i miejskie wywołują wiele zastrzeżeń. Notuje się odpływ młodzieży literackiej. Powszechne uznanie budzi eksperymentujący powiat lubartowski i chełmski, ale z drugiej strony na blisko milion zarejestrowanych telewizorów w kraju — w województwie lubelskim jest ich niewiele ponad 500. Środowisko plastyków cieszy się —mimo dużych lokalnych tradycji — większym powodzeniem w Krakowie i Paryżu, niż w Lublinie. 5 wyższych uczelni, 10 tysięcy młodzieży akademickiej nie wywiera swej presji na życie kulturalne tego miasta, a tym bardziej tego województwa. Mimo całego awansu teatru lubelskiego — jego warunki lokalowe są opłakane. Rzutuje to bezpośrednio na najniższy chyba w kraju stosunek liczby widzów na tysiąc mieszkańców. Artyści teatralni są zapracowani, zaabsorbowani zwłaszcza działalnością objazdową teatru, na skutek czego nie mogą realizować swoich planów artystycznych („Reduta 61", Kabaret Literacki). Na pracę o Namysłowskim brak jest papieru, gdy na publikacje znacznie mniej potrzebne zawsze go starcza. Świdnik, wielka dzielnica robotnicza, de facto oderwana jest od Lublina. Ile jeszcze przytaczać podobnych głosów? Mamy ich w notesie sporo.

Jeżeli jest tak źle, dlaczego jest tak dobrze? Oto cała specyfika dziennikarskich spotkań. Nie jest ich celem jałowe biadolenie, ani tym bardziej nachalne lakiernictwo. O osiągnięciach Lubelszczyzny wszyscy doskonale wiemy. Dziennikarze szukają dziury w całym. Ganić ich za to? Trochę jest w tym oczywiście oportunizmu, bo krytykować zawsze i łatwiej i wdzięczniej, ale znacznie więcej jest szczerej troski i najbardziej chwalebnych ambicji. Niech tych kilkadziesiąt wypełnionych, dziennikarskich notesów powie prawdę o Lubelszczyźnie całej Polsce. O jej symptomatycznych, a więc typowych problemach. O konieczności zwrócenia oczu na wschód. Nie aby krytykować, aby pomóc. Aby przyśpieszyć awans tego pięknego regionu Polski.

To nieprawda, że sesja lubelska Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej SDP została zamknięta 6 kwietnia br. wieczorem w Kazimierzu. Niech ciągnie się dalej. Niech trwa.

Leszek Goliński

KULTURA W SOCZEWCE

ZYGMUNT BRZOZOWSKI

Pocztówki mojego miasta są bardzo ładne. Fronton pałacu Branickich, trasa W-Z, kościół św. Rocha, Ratusz, planty... Właśnie planty... Aleja róż, kopulaste tuje, Teatr Węgierki i... Elektrownia. Kolorowe gmachy i szare chałupki. Szerokie arterie i wąziutkie uliczki. Fotograf-amator przerzuca obiektyw z jednej ściany na drugą. Zdjęcia muszą być ostre. A co z ludźmi? Źle rysujący obiektyw, czy wywoływacz...?

Białystok, miasto kontrastów, liczy już 130 tysięcy mieszkańców. Fotografia życia 130-tysięcy ludzi byłaby niewątpliwie arcydziełem. Kto ma taki obiektyw? W moich „soczewkach" utrwaliłem fragmenty Białegostoku z roku 1951. Uchwyciłem też pewne momenty przemian gospodarczych i kulturalnych w ostatnim 10-leciu. Fotografia z 1951 r. pokazuje gruzy. Było moc gruzów i tylko 48 tysięcy mieszkańców. Bank. „Gospoda Ludowa" i knajpa „Pod końskim ogonem", Teatr im. Węgierki, kino „Ton" i kilka odreperowanych fabryczek włókienniczych. Ludzie? Różni. Większość w waciakach i walonkach.

W Warszawie mówiono, że Białystok jest siedliskiem wilków i niedźwiedzi. Pierwsi dziennikarze, którzy przyjechali tu z Krakowa, Katowic, Łodzi i Warszawy, by tworzyć „Gazetę Białostocką", nie natrafili na ślady dzikiego zwierza. Spotkaliśmy się tu natomiast z wielką życzliwością i polubiliśmy ten skrawek ziemi. A potem?

Wszystko co nowe zaskakuje chwilowo. Po prostu człowiek przyzwyczaja się, uważa, że tak być musi. Nowe, piękne osiedla robotnicze, nowe olbrzymie fabryki, kina i nowy teatr Związków Zawodowych, nowe restauracje i kawiarnie już nie imponują tubylcowi. Zaskakują przyjezdnych. Koledzy piszą w gazetach centralnych, że zaśniedzieliśmy wraz z naszym miastem. A my? Klniemy i szarpiemy się jak dawniej. Wreszcie dochodzimy do wniosku, że w naszym mieście zagubiliśmy wiele problemów.

Wielogodzinna dyskusja na Sejmiku Kultury (grudzień 1961 r.) udowodniła, że przeobrażenia ekonomiczne dokonują się na pewnym dystansie od rozwoju życia kulturalnego. Ten dystans między ekonomiką i kulturą dostrzegli również gospodarze miasta, zwołując specjalną sesję Miejskiej Rady Narodowej.

Przeciętnemu mieszczuchowi w Białymstoku mogą wystarczać te placówki kulturalne, z którymi się zżył w ostatnim 10-leciu. Ale przyjezdnym i wychowankom Białostockiej Akademii Medycznej czy Szkoły Inżynierskiej nie imponują istniejące obiekty kulturalne i nie bardzo też interesujące są dla nich nowo tworzące się kluby środowiskowe. Krzyczą, że Teatr im. Al. Węgierki, Kino-teatr Związków Zawodowych, Orkiestra Symfoniczna, Ognisko Baletowe i Ognisko Muzyczne to za mało. Za mało jak na Białystok, który powinien promieniować życiem kulturalnym na całe województwo. Mają rację. Szkoda jednak, że w ferworze poszukiwań problemu zapomniano o świetlicach fabrycznych. A podobno talenty rodzą się nie tylko na scenie teatralnej! Prawidłowa działalność świetlic fabrycznych ma olbrzymi wpływ na wzrost konsumentów kultury, ale też i na wzrost organizatorów i twórców kultury.

Niemal każde miasto wojewódzkie buduje nowe obiekty kulturalne. W wielu wojewódzkich miastach wybudowano też ośrodki telewizyjne i radiowe. A Białystok? Białystok — dziecko macochy głaszcze się delikatnie i mówi: „Róbcie, a my pomożemy". Trzy lata temu powstał Społeczny Komitet Budowy Rozgłośni Polskiego Radia i Telewizji, który za fundusze zbiórkowe wybudował gmach dla przyszłego ośrodka telewizyjnego, zbudował półtorakilometrowy odcinek drogi do obiektu, zakupił maszt telewizyjny, a władze centralne mówią: „czekajcie, jeszcze macie czas, pierwszy przekaźnik po Lublinie otrzyma Kraków, a potem Rzeszów"... Krzyczeć nie wypada, płakać nie przystoi.

Nawet pozostawieni samym sobie widzimy jednak potrzebę nowych jakości, zwłaszcza w środowiskach twórczych. Plastycy jako tako dają sobie radę. Gorzej było z piszącymi. Ostatnio założyliśmy w naszym mieście Klub Literacki i zwróciliśmy się do Zarządu Głównego ZLP o przyjęcie opieki nad Klubem. Mamy nadzieję, że w najbliższym czasie z Klubu wyłoni się Oddział ZLP.

Widziałem już w. Białymstoku młodzieżowy pałac kultury i piękny kombinat szkół artystycznych, mieszczący Technikum Sztuk Plastycznych, Państwowe Ognisko Baletowe i Ognisko Plastyczne, Orkiestrę Symfoniczną oraz szkoły muzyczne I i II stopnia. Niestety, to były tylko marzenia działaczy kulturalnych i rysunki pełne obietnic. Co robić? Kląć? Nie róbcie tego proszę, bo zepsujecie fotografię.

144 ZŁOTE *

JERZY POPOW

— No i co? Otworzyliście towarzyszu?

— Gdzie tam. Żaden klucz nie pasuje do tej szuflady...

— Może wezwać ślusarza?

— Przydałby się. Ale kto mu zapłaci? Na to pieniędzy nie mamy.

— I to prawda. Ostatecznie wystarczy wam jedna szuflada.

— Oczywiście. I tak ta, której używam, jest prawie pusta. Do nikogo nie piszemy, nikt do nas nie pisze.

— No, nie całkiem. A sprawozdania szkoleniowe gdzie trzymacie?

— Wszystkie mieszczą się w tej jednej tekturowej teczce.

— A rozliczenia z broszur? Pamiętajcie. U nas towarzysze nie są księgowymi i chętnie biorą wszystkie materiały propagandowe, tylko później muszą sami płacić za innych.

— Tak było przed tym. Teraz zaprowadziłem porządek. 17 powiatów, każdy sekretarz podpisuje co zabiera i wie za co ma płacić. Pracowałem kilka miesięcy jako księgowy i to mi się teraz przydaje.

— A wiecie? Nie wiem, jak to jest, ale rozliczenia pieniężne — to nasza słaba strona. Materiały wyrywane są z rąk, rozchodzą się w powiaty i na wioski a później nie ma kto płacić...

— No cóż? Nikt z towarzyszy księgowości się nie uczył...

— A szef już wrócił? Mam do niego pewną sprawę.

— Jeszcze nie. Odnowiła mu się rana na nodze i teraz kuleje. Dziś miał iść do lekarza.

— To powinien już być. Swoją drogą co to jest, że zawsze na jesień odnawia mu się ta rana. A Jasio gdzie jest? Może z nim to załatwię.

— Nie wiem. On zawsze chodzi własnymi drogami i nie opowiada się gdzie wychodzi. A ja tylko odbieram telefony do towarzysza „pułkownika" i mówię, że go nie ma.

— To tytułują go pułkownikiem?

— A tak. Przebywa stale z majorami, to dla pewności tytułują go pułkownikiem, bo chodzi po cywilnemu.

— To mała pecha. Ani kierownika nie ma, ani zastępcy.

— Jasio powinien lada chwila przyjść. Ktoś już czeka na niego, bo umówił się z nim. A tutaj mam przekaz dla Jasia na 144 złote... listonosz nawet nie bardzo chciał zostawić pieniądze, bo Jasio odpala mu zawsze końcówkę.

— O, Jasio ma gest we wszystkim.

— Tak. On czuje się z pieniędzmi tak samo dobrze, jak i bez pieniędzy.

— Może dlatego nie żyje z żoną?

— Ale jego córka przychodzi do niego często po kieszonkowe. Jest prawie moją rówieśnicą. Śmieszna dziewczyna.

— Dlaczego?

— Kiedy mówi do Jasia „tato", to nie chce mi się wprost wierzyć, że to jego dziecko. On przecież wygląda tak młodo.

— I ma powodzenie, choć kobiet nie szuka...

— To kobiet nie razi jego ręka?

— Ostatecznie nie rzuca się w oczy. Zauważyłeś, że trzyma ją zawsze w kieszeni? Wtedy wygląda całkiem naturalnie jak poza. Dopiero kiedy wyjmuje rękę, widać że jest sztywna i jakby krótsza.

— Dziwny jest ten nasz wydział. Szef ma sztywną nogę, Jasio sztywną rękę...

— No ale wam nic nie brakuje, towarzyszu. Do wojska idziecie?

— Po studiach. Teraz jestem w dzień instruktorem, a wieczorem studentem.

— I macie czas na naukę?

— O, u nas w komitecie naukę traktuje się jak pracę i nie rozdziela jej. Zresztą jestem w lepszej sytuacji niż Gustek.

— To ten francuski komunista — repatriant z Wydziału Organizacyjnego.

— Tak. On także się uczy, a przecież częściej aniżeli ja wyjeżdża w teren. I tak ciągniemy jakoś. Już jesteśmy na drugim roku. Ale Gustka podziwiam, ma końskie zdrowie.

— No cóż, pracował w kopalni, a tam dla słabych miejsca nie ma...

— Wiecie co? Byłem ostatnio na amerykańskim filmie i tam jeden kasiarz otwierał zamki szpilką od włosów.

— Skąd to wspomnienie?

— Bo cały czas podświadomie myślałem, jak tę przeklętą szufladę otworzyć. To jest właśnie jakiś amerykański zamek...

— Jeśli amerykański, to filmową metodą: szpilką.

— Żartujcie sobie, żartujcie, ale ja pod ręką mam spinacz i spróbuję zrobić z niego kluczyk. O, taki. Teraz włożymy go do zamku...

— No i co?

— Cud nad Wisłą. Coś tam ustępuje. Słyszycie?

— Naprawdę?

— Czuję pod palcami jak drut coś odgina.

— A może to tylko spinacz się ugina w palcach?

— Zaraz, zaraz... połączę teraz dwa spinacze, to będzie coś twardszego. Słyszycie?

— Tak. Wyraźnie zamek ustępuje.

— Ale mnie już bolą palce.

— To weźcie jeszcze jeden spinacz — będzie lepsze oparcie.

— Myśl niezła — spinaczy jest dosyć... Ten trochę skrócę i mam teraz metalową miotełkę.

— No coś takiego. Amerykański film daje peperowcowi wskazówki jak odmykać zamek.

— Tak już jest. W życiu nigdy nie wiadomo, co się może przydać. Ale do roboty... I raz, i dwa...

— ...I nic.

— Spokojnie towarzyszu. Bez nerwów. Teraz uchwycę spinacze mocniej... Jest!

— O! Przecież postawiliście na swoim.

— No. Mam teraz drugi fach. Ale co to? To nie szuflada. Tu jest jedna półka. Jakaś szmata? To koszula. I chleb.

— Pokażcie. Tak, to zakrwawiona koszula.

— Ten chleb ma ze trzy lata. To wojenny, czarny, kartkowy razowiec.

— Takiego chleba tu już faktycznie od trzech lat nie widziałem. Co to może być? O! Jasiu przyszedł. Czołem.

— Nad czym tak debatujecie towarzysze? Co tam Stefek znalazłeś w swoim biurku?

— Popatrz, Jasiu. Jakaś zakrwawiona koszula i chleb wojenny....

— Ta koszula... Tak... Ta zakrwawiona koszula... Pokaż... Krew na rękawie... i tu na piersiach.

— No właśnie, towarzyszu. Co to ma znaczyć? Morderstwo?

— Synku! Naczytałeś się bzdur i pleciesz głupstwa. To jest moja koszula.

— Wasza? W biurku Stefana?

— A tak. To biurko widocznie miałem w 1945 roku. W lutym jechaliśmy gdzieś na Podkarpacie. Po drodze ostrzelano nas. Ze mną był Antek, wiecie ten z Administracyjnego Wydziału. Wyskoczyliśmy do rowu i zaczęliśmy się odstrzeliwać. Dobrze, że nas wtedy nie ukatrupiono. Zapasów naboi nie mieliśmy. Ale widocznie było ich mało i przestraszyli się nas widząc, że posiadamy broń. A najciekawsze, że dopiero jak ucichła strzelanina, to poczułem, że jestem ranny. Dużo krwi straciłem. A od tego czasu rękę mam sztywną i co miesiąc jako inwalida otrzymuję pocztą rentę. 144 złote...

** I nagroda w konkursie literackim KW PZPR i PWRN w Rzeszowie z okazji 20-lecia PPR.*

JADWIGA BIADUŃ

*

* *

MOTTO: *„Ten, kto pierwszy nazwał kobietę kwiatem, był wielkim poetą..."*

Powiedział Pierwszy:
Niech się stanie
dziewczyna
kwiatem rzęsistym.
Zapachniało.

A Drugi mówił:
Nardu pełna
błogosławiona
między miękkościami
sen z tobą...

Róże przyjęły do wiadomości.

Fotografie

HELENA KARPIŃSKA

UDAŁO mi się zdobyć książkę którą znam niemal na pamięć, ale nie miałam jej dotąd w swojej bibliotece.

Paustowskiego „Dalekie lata".

Kijowskie wieczory nad Dnieprem, strome zaułki „Lewaszatki" z białymi krochmalonymi kołnierzami i Pensjonat dla Dobrze Urodzonych Panien, gdzie gruby ksiądz Olędzki przy pomocy torby cukierków rozgrywa z surowym popem ciche batalie o rząd dusz.

Dlaczego ona nie zdążyła tego przeczytać?

Choć może o niej pisał, o jej brązowym mundurku, o jej warkoczach o jej spacerach w botanicznym ogrodzie, do którego nie wpuszczano po deszczu?

Opowieść o mojej matce to opowieść o nieprzystosowaniu.

Urodziła się nie w porę, kochała nie w porę, była nie w porę i nie tak jak należy piękna i umarła nie w porę.

Zostało po niej tylko zamglone i rzewne wspomnienie i kilka zniszczonych, wyblakłych fotografii.

Fotografia I

Sztywny, podłużny kartonik, opatrzony z lewej strony licznymi ozdobami i podobiznami medali. Firma solidna i znana. Z kartonika wygląda wsparta na parasolce młodziutka sylwetka dziewczęcia, ubrana według kanonów mody fin de siècle'u. Coś w niej jednak nie pasuje do tamtego czasu. Figurka jest zbyt smukła, brakuje jej tu i ówdzie tego nadmiaru okrągłości w którym tak kochali się ówcześni panowie. Nie pomogą nastroszone halki i rurkowany staniczek.

No i skąd ta głowa Bardotki w Gubernialnym mieście Kijowie? Ogromne oczyska patrzące spod strzechy włosów, mały, zadarty nosek, wydęte kapryśnie usta... Tak nie należało wyglądać w 1902 roku.

Nie należało także mówić pięknie po rosyjsku — bo to niepatriotycznie, nie należało chodzić na wykłady chemii i głosić zasady Darwina...

Kto widział, żeby panna z dobrej rodziny...?

Nie należało przyjaźnić się z Rosjankami i godzinami w studenckich pokoikach przy niekończących się stakańczykach czaju dyskutować nad poprawą świata. I, Boże ty mój — nad obaleniem ustroju.

A już na pewno nie należało pokochać mojego ojca.

Fotografia II

To było maleńkie zdjęcie amatorskie schowane głęboko w biurku. Jak przetrwało wszystkie wojny, tułaczki i rewolucje — nie wiem. Pamiętam tylko jak zawstydziłam się ogromnie i jak płakałam długo nie mogąc nic z tego zrozumieć, ale czując, że wdarłam się w czyjąś najintymniejszą tajemnicę.

A przecież nic na nim nie było. Maleńka twarz kobiety rozjaśniona światłem oczekiwania i mężczyzna, zabawny mężczyzna z wąsami i bródką patrzący w tę twarz... Dziś już wiem, dlaczego płakałam. Dzieci nigdy nie powinny wiedzieć, gdy ojciec w ten sposób patrzy na ich matkę.

Fotografia III

Była jeszcze jedna fotografia: dziewczyny z krótko obciętymi włosami, o delikatnych ustach i oczach podkrążonych gorączką. To była starsza córka. Zmarła na suchoty — tak się wtedy mówiło.

W domu było okropnie. Szaro i czarno, pusto i głucho. Milczał fortepian, nie dochodziło słońce. Plątaliśmy się nikomu naraz niepotrzebni — i ja, i ojciec, wstydząc się prawie, że żyjemy.

Rano mama ubrała mnie i poszłyśmy do miasta. Jakże się ucieszyłam!

Ale chodziło tylko o fotografię. Żeby powiększyć.

Za kilka dni poszłyśmy znowu.

Z owalnej ramki patrzyła na nas obca dziewucha, — tłusta i zadowolona z życia. Rozsypane pukle fotograf zakręcił jej w loczki starł retuszem gorzką wiedzę o życiu i śmierci. Mama wyszła bez słowa, a za progiem zaniosła się rozpaczliwym szlochem, jak by po raz drugi traciła dziecko. Nie rozumiałam i nie współczułam jej ani trochę. Oglądałam się na wszystkie strony i tak bardzo, tak strasznie wstydziłam się, że ktoś nas zobaczy i będzie się śmiał. Że dorosła — i płacze.

Fotografia IV

Co dzień było inaczej, o innej porze. Wielka improwizacja święciła triumf w domu mojego dzieciństwa. Nigdy nie było obawy o rutynę.

Takie pojęcie jak czas i stałe miejsce nie istniały. Dziś był tu pokój jadalny — jutro salon. Dziś obiad o 2, jutro... ach, drobiazg. „Właśnie znalazłam wspaniałe ustawienie tej kanapki i tych fotelików — tu pójdzie dywan... tu półka z książkami. Prawda jak uroczo"? Strzecha włosów chwieje się niepokojąco, szpilki wylatują, mama staje w płaszczu czekoladowych loków sięgających do połowy uda.

„Nie gniewaj się, zaraz kartofle się dogotują"!... Któżby teraz myślał o kartoflach. Wszyscy pomagamy zbierać te olbrzymie włosy — ja bawię się, nakręcam pierścionki na palce. Zazdroszczę...

Fotografia V

A potem była wojna, absolutnie nieczuła na włosy o kasztanowatych skrętach. Zaczęły się przeprowadzki już wcale nie na niby.

Na wsi przywitał nas trzask mrozu i hukanie puszczyków. Potem byli Niemcy. Przybili na drzwiach ogłoszenie o bestialstwach Polaków w Bydgoszczy i ostrzegali przed kontaktami z ludnością miejscową.

I wtedy nakryłam mamę, jak na ganku oplecionym dzikim winem rozmawiała z żołnierzem niemieckim. Podchodziłam do nich z kamienną twarzą — żołnierz prysnął w bok chowając coś do kieszeni — mama stała, trochę jakby złapana, z mapą w ręku.

„On jest z Turyngii — „Turingen" — mówił, że tam jest tak pięknie — lasy, góry, jeziora..."

„Rozmawiałaś z Niemcem" — starałam się, aby każde słowo cięło jak bicz...

— „Taki tam Niemiec — bidula. Chłopaczek ledwo wyrośnięty. Fotografię mi pokazywał: dziecko ma już dwa lata, a jeszcze go nie widział. O mało nie płakał..."

— „No to ty popłacz sobie nad nim. Nad Niemcem..."

Niemiec przychodził jeszcze nie raz. Stał na ganku wśród wina i rozpaczliwie usiłował się dowiedzieć — od starszej mądrej Frau, dlaczego nie wolno mu widzieć własnego dziecka. „Warum ist Krieg"?

Kryli się przede mną oboje. Byłam tak oburzona, że nawet mnie to nie bolało.

Za kilka dni pomaszerowali wszyscy Nach Osten po swoje przeznaczenie. Na furze wlokącej się z tyłu siedziało kilku chorych i mamin podopieczny. Przyciskał do piersi fotografię i bełkotał coś o żonie, o dziecku, o wojnie, wzrok miał błędny. W oczach esesmana eskortującego furę można było wyczytać wyrok.

Wtedy po raz pierwszy zastanowiłam się — skąd mama wiedziała?

...A teraz myślę, czy tak przyjęto cię wtedy gdy przywiozłaś sobie „rosyjskiego męża"?

A przecież obie miałyśmy rację. Ja swymi młodszymi oczami wyraźniej widziałam kształt trupich czaszek na niemieckich czapkach.

A ty odwiecznym prawem matek wśród armii zwycięzców wyłowiłaś bezbłędnie czyjegoś syna i czyjeś serce tęskniące do dziecka.

Ostatnia fotografia

Za dużo już było przeprowadzek. Lubiłaś się w nie bawić całe życie — ale te nie były z zabawy. Przechodziłyśmy z miasta do miasta, z domu do domu — z większych, źle ogrzanych pokoi do ciasnych klitek, gdzie wszyscy skupiali się koło jednego ognia. Byłaś już taka znęczona. I nagle zapragnęłaś wrócić do kraju własnego dzieciństwa.

Marzył ci się Kreszczatik, botaniczny ogród, wieczory na Dnieprze i stara szkoła, w której gruby ksiądz Olędzki z pomocą lodowych cukierków prowadził z surowym popem ciche batalie o rząd dusz.

Dziś na Kreszczatiku maszerowały grubo podkute niemieckie buty. Nad Dnieprem niosła się pieśń „Heilli — heila".

Nie, stanowczo nie czas był, aby tam wracać.

Bałaś się jeszcze jednej podróży — ostatniej. Złościliśmy się, gdy mówiłaś, że tam jest zimno, że prosisz, abyśmy cię otulili szalem albo popielatym welonem z wełny. Złościliśmy się ogromnie ale to nic nie pomogło.

Niedługo trzeba było cię owinąć w ten popielaty szal. Leżałaś jak kokon, tylko czubki pantofli było ci widać, bo ludzie by powiedzieli, żeśmy żałowali ci butów na ostatnią drogę. I znowu zrobiłaś nie tak, jak należało. Mogłaś poczekać choć trochę, choć kilka tygodni, gdy zagrały katiusze, a do nas przyszedł młodziutki Iwan znad twojego Dniepru. I śpiewał piosenki twojej młodości.

Mogłaś poczekać choć kilka miesięcy i przeczytałybyśmy sobie książkę Paustowskiego pisaną dla ciebie.

Białystok, w kwietniu 1962.

W RZESZOWIE też są PLASTYCY

RENATA NIEMIRSKA-PISAREK

Rzeszów. Żyją tu ludzie podobnie jak i w innych miastach — myślą, czują, mają ambicje, dążenia, przeżywają swoje zwycięstwa i klęski. Zgrupowało się tu też dość liczne środowisko twórcze. Są muzycy, aktorzy, architekci, dziennikarze, są i plastycy.

O tych ostatnich wypadło mi mówić. Oni tu są, zmagają się ze zwykłymi kłopotami codziennymi i... tworzą, malują w swych ciasnych nieraz mieszkaniach, bo Rzeszów nie posiada dotąd ani jednej pracowni z prawdziwego zdarzenia. Istnieją jako silnie związana w swych dążeniach grupa ludzi, podejmująca wspólne decyzje i zamierzenia w ramach Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków.

Powstał on już w roku 1944 pod nazwą Rzeszowskiego Związku Plastyków. Założycielem jego był między innymi mieszkający do dziś w Rzeszowie artysta-rzeźbiarz Zbigniew Krygowski. Wkrótce szczupłe początkowo grono plastyków zaczęło się powiększać. Przybył w tym czasie do Rzeszowa Mieczysław Wejman, znany dziś i powszechnie ceniony malarz i grafik, profesor ASP w Krakowie.

Wystawy, wieczory literackie, odczyty i prelekcje organizowane przez plastyków weszły w program wydarzeń kulturalnych Rzeszowa. Zorganizowane Studium Malarskie przy Związku przerodziło się później w Państwowe Ognisko Kultury Plastycznej. Stworzono teatrzyk kukiełkowy, o którym do dziś pamiętają mieszkańcy Rzeszowa. Powstała później Kawiarenka Plastyków, którą ciepło wspominają ówcześni jej bywalcy.

Praca w Związku nie należała wówczas do łatwych. Wszystko było w stadium organizacji, nie posiadano nawet maszyny do pisania.

Prace administracyjne Związku prowadziła zupełnie bezinteresownie malarka Jadwiga Dziędzielewicz.

Lata mijały, ludzie się zmieniali; bujne, tętniące życie Związku przygasło nieco. Dziedziczące i rozwijające się Ognisko Plastyczne zostało zlikwidowane w 1950 roku przez czynniki odgórne.

Pomimo jednak pewnego zastoju w żywotności tutejszych plastyków, ich prawo obywatelstwa w tym mieście zostało ugruntowane. Wystawy organizowane przez Związek weszły w tradycję.

Aż oto w roku 1955 powiał nowy wiatr nad Rzeszowem.

..."Rozpoczął się nieznany w dziejach redakcji najazd młodych plastyków..." — pisze dziennikarz „Nowin Rzeszowskich" red. Edmund Gajewski. Cytuję dalej: ..."Co za czasy? Też mi cyganeria, bez peleryn, jeden na dziesięciu imponował nieładem artystycznym włosów. O zgrozo! — zatrwożyli się

(Dokończenie na str. 15)

Marian Ziemski: „Kółko plastyczne w Sędziszowie" — II nagroda (miejsce I) w konkursie plastycznym XVI-lecia Ziemi Rzeszowskiej. Foto Z. Postępski

PROFILE

AUTONOMICZNA KOLUMNA MŁODYCH

Wyznanie złodzieja

VIOLETTA SZORC

— Gdy miałem szesnaście lat zabrano mi pierwsze złudzenie — powiedział — od tego czasu zaczynam zawsze swój życiorys.

— Dużo tego miałeś?

— Dużo. — Odpowiedział, wyliczywszy na palcach sześć pozycji.

— A teraz?

— Teraz już skończyłem mój życiorys. Wskazałem datę śmierci i zaniosłem do urzędu.

Mówił spokojnie dobierając gesty. Podniósłszy ręce opuszczał je ruchami, które miały coś z mechanicznej zabawki.

— Opowiedz mi swoje życie — rzekł sprawozdawca, odczekawszy sekundę, nie zachęcając, jakby się bał, że skusi się na tę propozycję. Patrzył z wysoka i mrugał porozumiewawczo. Czekał.

— Nie skończyłeś jednak życiorysu. — Powiedział i zaczął przeliczać palce.

— Od szesnastego roku życia — zdecydował się nagle, przybierając pozę, — gdy straciłem złudzenia, zacząłem kraść wszystko, co się dało. Kiedy byłem głodny — kradłem chleb i brukiew. Kiedy byłem syty — kradłem czas, sprzedawany przez mnie w urzędach.

Kiedy chciałem się zabawić — kradłem styl ubrania i styl bycia w towarzystwie cieni moich przyjaciół. Kiedy się nudziłem — kradłem głosy wszystkich stacji radiowych i obrazy wszystkich telewizorów, a także w ostateczności wykradałem z najlepszych książek główne postaci, bohaterów opowiadań.

Tym sposobem nie będąc nędzarzem, byłem jednak zawodowym złodziejem. Nagi jak pierwszy człowiek — byłem tylko zerem, a właściwie setką zer, zaś kradzieże były moim królewskim płaszczem z bajki Andersena.

— Tak siebie oskarżasz?

— Muszę, bo wiem, że jestem przezroczysty dla ciebie. I to przecież wiesz, że chodziłem w butach kłamstwa.

— W czym chodziłeś?

— W chodakach, jeśli wolisz, chodakach kłamstwa. Bo to idzie razem: kradzież i tamto.

— Nie zabijałeś?

— Nigdy nikogo żywego.

— Nie bluźniłeś?

— Nigdy przeciw tobie ani przeciw życiu.

— A więc nie da się twych win podciągnąć pod paragrafy przykazań. Byłbyś czysty!

— Wiesz dobrze jednak, że jestem setką zer.

— Dlatego wrócisz do urzędu i zabierzesz swój akt zejścia.

— Po co?

— Wrócisz do domu i umyjesz się w miednicy z odrapanym dnem. Od stóp do głów. Włożysz ubranie wyjęte z pewnej książki i zaczniesz mówić i myśleć jej słowami.

— O kim mówisz?

— Przypomnij sobie syna cyrulika z Alcala de Henares, Michałka, który będąc poetą został żołnierzem, a w więzieniu powołał do życia zwariowanego pomyleńca. No, przecie wiesz.

— Odmawiam.

— Czego odmawiasz?

— Mycia w miednicy z odrapanym dnem. Byłem także tym człowiekiem z Manchy, a przecież to najokrutniejsze z kłamstw i najcięższa z kradzieży.

Obie strony monety

OSTATNIO w Lublinie dają się zauważyć ciągotki remanentowe. Ze strychów wyciąga się i oświetla dość jasno, bo w prasie, sprawę grup byłych i spróchniałych, a także grup czynnych, o których nie bardzo wiadomo, na czym ich aktywność polega. Wprawdzie pojawił się tomik grupy „Prom", ale nawet pobieżna jego lektura świadczy, że nie rewolucję za cel postawiła sobie grupa. A co mianowicie? Odpowiedź nasuwa się nieodparcie — wydanie tomiku. Wobec tego, jeżeli grupa nie chowa w zanadrzu następnego zbiorowego tomiku, cel został osiągnięty, a poeci mogą spokojnie stanąć na spocznij. Na dowód tego cytuję słowa poety, członka wyż. wym. grupy, manifestującego swą postawę w rozmowie „Grupy, czy życie pozagrupowe", którą można odnaleźć w numerze 5/243 „Kameny". Jest rzeczą jasną, że razem łatwiej do czegoś dojść. Dowodem tego jest wydany ostatnio tomik grupy „Prom". „Tutaj debiut książkowy może być jednocześnie śmiercią autora", „Młodzi tworzą grupy, aby ułatwić sobie start? Poeta: Oczywiście..." i dalej: „Samo dzieło nie jest w tej chwili najważniejsze, do dzieła przez żołądek"? „Żądamy tego, żeby mieć jakieś warunki egzystencji". Mamy więc monety strony obie: łatwiejszy start i materializm czysto portfelowy. Na takich fundamentach chce budować grupy Poeta. Jest realistą, trudno ganić rozsądek i poetom apetyty nie są obce. Dziwnym wydaje się tylko, że zarobek, forsa jest w całej jego wypowiedzi rodzajem dominanty, którą usiłuje, powołując się na nią raz po raz, usprawiedliwić wszelkie utykania grup. Forsy tej Poeta niedwuznacznie się domaga. Otóż ta pryncypialna zasada sprowadza w końcu rzecz całą w zaułek walki o żłób, tak wyszydzony, również przez poetę, w artykule „Mieszczanin" an. 1961 r." i w tej sytuacji smakuje jak paradoks. Dotychczas istniały dwa bieguny: zabiegliwy filister an. 1961, po drugiej stronie, jeśli ścieśnimy pojęcie, przeważający gatunkowo i w ogóle przeważający literat. Obecnie te przeciwstawne bieguny zlewają się z sobą w dwóch mianowicie punktach. Żłób, żarcie. Żona — trzecie z pewnością doda się do dwóch poprzednich i otrzymamy egzemplarz poeto-filistra dziwnie sprzeczny, ale sympatyczny. Postulat wydaje się być chwalebny, lecz w jaki sposób chce Poeta zdobyć ów raj-piekło. Poprzez grupy, w gromadzie siła. Łączmy się, bracia, bo ilu nas tu jest, tak nas mieszczuchy an. 1961 r. zadepczą. Walczmy z nimi ich własnym mieczem: żłobem z nimi, żarciem, żoną ich doświadczyć.

Jeżeli grupa już powstała i posiada imię, wtedy z nadstawioną portmonetką zwraca się do społeczeństwa. Tutaj jednakże natrafiamy na przeszkodę, społeczeństwo wszak może zapytać: Dlaczego, za co? I słusznie. Członkowstwo chyba nie wystarcza bowiem sprowadzając rzecz ad absurdum, każdy obywatel jest potencjalnym członkiem grupy, a więc potencjalnym literatem. Koniec z odbiorcami, wszyscy chałturzymy. W tym miejscu padnie zapewne argument wyjaśniający mi uprzejmie, ale stanowczo, że członkowie grup, oprócz do grup należenia, tworzą literaturę. Lecz oczywisty jest fakt, że literaturę tę tworzyli, zanim się do grup zapisali. Wniosek: Odbiorca ocenia produkt indywidualny — nie grupowy, bowiem taki jest w literaturze przypadkiem niezmiernie rzadkim. Ponadto żaden z lubelskich młodych twórców nie uczynił sobie z literatury ani podstawowego źródła utrzymania, ani też zajęcia. Z reguły są oni studentami i tu należy szukać źródła patronatu RO ZSP nad grupą „Prom", a także owych „elementarnych podstaw materialnych", które nie wykraczają poza finansowanie wyjazdów na sympozjony. Ponieważ ze strony prozy żadne konkretne propozycje nie padły w rozmowie, przedstawiam je tutaj: Jeżeli tworzymy kołchoz, a kooperacyjnie poematu napisać się nie da, załóżmy farmę kurzą, albo już teraz zacznijmy podorywki i wyhodujmy dorodną kukurydzę.

Drugim aspektem swoistego poetyckiego utylitaryzmu, ową odwrotną stroną monety jest start, o który w kupie łatwiej. Teza ta jest truizmem wciąż prawdziwym i skutecznym. Tylko czy start jest sprawą najważniejszą? Patrząc nań pod kątem twórcy — niewątpliwie tak. Natomiast punkt widzenia odbiorcy przedstawia się zgoła odmienie, a więc niewątpliwie nie. Ze strony odbiorcy dochodzi jeszcze wartościowanie startu i przede wszystkim to wartościowanie. No bo niby dlaczego mamy czytywać grafomanów, nawet jeśli są to grafomani zjednoczeni. Tworzenie grup literackich przy zastosowaniu kryterium łatwiejszego startu uważam za nieuzasadnione i niepotrzebne, zwłaszcza, że już jeden ogólnopolski inkubator talentów pędzi swój zmienny żywot pod tytułem KKMT.

Niezaprzeczalny jest fakt ciągłego powstawania grup nowych i umierania nowych i starych i także fakt, że zjawisko to jest szczególnie charakterystyczne dla środowisk młodych. Potem się z tego wyrasta, mleczne zęby wypadają, literat uzębia się ponownie, pozostając nadal literatem, lub ciska pióro do diabła i zaczyna „robić w kulturze". Ale zanim się literat na dobre uzębi, pragnie zostać uznanym literatem, czyli zarejestrowanym gdziekolwiek, a najłatwiejszą ku temu drogą jest grupa, przedstawiająca rangę pewnego awansu, popularności, niewielkiej wprawdzie, i szansę uzyskania poparcia od czynników. W tej ostatniej rzeczywistej postaci grupy nie są ani pożyteczne, ani też społecznie szkodliwe, a więc niech istnieją.

J. M.

DZIECIĘ WIEKU

KTO z nas nie marzył w młodości o sławie wielkiego poety lub genialnego malarza, który spala się bezimiennie z głodu i gruźlicy w brudnej mansardzie, łykom na pohańbienie, a sobie na pożytek zbawienny?

Ale czas romantycznych poddaszy minął. Przepadłeś, cyganie. Lekarze zacerują ci płuca, dobrzy ludzie nakarmią, kwaterunek przydzieli słoneczne lokum. A jeśli już uda ci się zmylić czujność społeczeństwa i mimo wszystko umrzesz, obojętne na co: na płuca, na raka czy na łupież, będzie to tylko wynik twojej złośliwości i przekory. Bo społeczeństwo w manii uszczęśliwiania wszystkich, nie pominęło ciebie, bezideowy zamyśleńcu, i jeśli toleruje ciebie i twoją nieokreśloną pozycję, to z trzech powodów: dla podtrzymania tradycji, przez snobizm lub dla zachowania gatunku.

Ostatni z nich pozornie dziwaczny, staje się palącą potrzebą, wiadomo bowiem, że tzw. cygan-artysta, ten początkujący, z którego coś może być, ale nie musi, jest na wymarciu jak szarotka lub Indianie w Ameryce.

Chodzi tu, rzecz oczywista, nie o tych, którzy wykorzystując fakt silnej komercjalizacji współczesnej sztuki, już na samym początku swojej często wątpliwej twórczości, potrafią jako tako wyżyć z pióra czy pędzla. Chodzi tu o autentycznego cygana-artystę, o indywiduum dwuznaczne i podejrzane, bez zawodu i stałego miejsca zamieszkania, wyjęte spod litery prawa, moralności, etyki, którym programowo zaprzecza. I retoryczne pytanie — czy tacy jeszcze istnieją?

Istnieją i rodzą się wbrew wszelkim statystykom, tylko że anonimowość tych postaci powoduje, iż nie stanowią one zbiorowości, a tym samym — problemu z punktu widzenia socjologicznego! Stanowią za to odwieczny i wdzięczny temat do sakramentalnych rozważań o upadku sztuki, filistrzeniu społeczeństwa, które nigdy „nie doceniało", było „gruboskórne", „obojętne" itp.

Dawno już odkryto prawdę, że rozwój świadomości nie nadąża za rozwojem techniki. Stąd wdzięczne dysproporcje: jedni budują rakiety, drudzy zakładają gminy chrześcijańskie, jedni czytają Mniszkówny, drudzy Apollinaire'a. Natomiast cygan załatwia wszystkich i wszystko jednym lapidarnym „Nie". Gorzej: woli Mniszkówną i zwalcza Apollinaire'a, ponieważ lubi odwracać hierarchie: każdy przeciętny zjadacz chleba wie, że nie należy czytać Mniszkówny, gdyż nie jest to literatura, natomiast Sartre, Gagarin i kawały z „Przekroju" — to tematy świadczące o ręce „na pulsie" literatury, techniki, współczesności. Oczywiście cygan nie zwalcza Apollinaire'a, zwalcza współczesnego mieszczucha, który stał się jego apologetą. Widzi bowiem, że nie ma już dulszczyzny w dziewiętnastowiecznym czy młodopolskim wydaniu, że współczesny mieszczuch przywłaszczył sobie wszystko, co kilkadziesiąt lat temu było synonimem nowoczesności i smaku. Dzisiejsi dulscy są bardziej radykalni i wyrafinowani pod względem percepcji tworów sztuki, ba etyki i moralności, niż niejeden cygan-artysta sprzed lat. Dziś u państwa Dulskich ściany wytapetowane są reprodukcjami Picassa, Braque'a, Matisse'a, w oszklonych biblioteczkach panoszy się Apollinaire, Eluard, Eliot, Ezra Pound, Przyboś, Grochowiak, Sartre, Hemingway, Butor, Hłasko i Mrożek.

Demaskuje ich, Dulskich, zawsze jedno: cena i jakość. Dulscy ubierają się tylko w „Cepelii", gdy Hesia wyjdzie za mąż, wyjedzie na dwutygodniową podróż poślubną do Zakopanego albo do Warszawy, zamieszka w najelegantszym hotelu, a po przyjeździe państwo młodzi zastaną w nowym mieszkaniu meble z tejże „Cepelii" za trzydzieści tysięcy oraz nową biblioteczkę, na gwałt, „hurtem" zapełnioną dziełami klasyków literatury dwudziestego wieku, w twardych, solidnych oprawach.

Cygan to widzi i wie, że traci grunt pod nogami, że odebrano mu monopol na nowoczesność. Pół wieku temu był w lepszej sytuacji, dulscy nigdy za nim nie nadążali!

W czasach gdy cyganie rozczytywali się w Zoli, dulscy czytali Kraszewskiego, gdy zaś doszli do Zoli, cyganie już byli w epoce Freuda i Wystawy Niezależnych. Ale gdy przyszedł czas tzw. literatury dwudziestego wieku i malarstwa superabstrakcyjnego, poczęły mijać lata, a w sztuce nie działo się nic specjalnie nowego, nie było już nowego kubizmu, surrealizmu, futuryzmu, nie nastąpiła żadna nowa zmiana warty, żadna nowa religia, która by pozwoliła cyganowi oderwać się od nacierającej tłuszczy. Przy czym cyganami i dulskimi okazali się już nie poszczególni ludzie, ci „enfants terribles", dani każdej epoce i każdemu społeczeństwu — okazały się nimi klasy społeczne i narody. Tak w stosunku do Francuzów dulskimi okazali się Polacy, w stosunku do Polaków — chyba już tylko Eskimosi. Teraz nastąpiło wyrównanie kompleksów, wyrównanie przede wszystkim w czasie: nową książkę, czy dramat Sartre'a czytają i oglądają mniej więcej w tym samym czasie we Francji i w Polsce, z tym, że i tu, i tam cygan robi to zawsze wcześniej i ...krytyczniej.

Nasz polski cygan przestał być cyganem: dawniej znajdował się i tworzył czołówkę intelektualną, dziś rolę tę przejęli zawodowi koneserzy. Bo mimo wszystko słowo cygan ma jednoznaczną treść — cygan musi być biedny, wegetujący, antymieszczański, antydulski. Radykalizm bowiem w sztuce nie idzie w parze z radykalizmem — powiedzmy ogólnie — materialnym. Wśród cyganów sztuki są mieszczanie, zamożni, zasiedziali, usystematyzowani. Ale prawdziwego cygana-artystę poznaje się po wytartych portkach i chronicznych niedomaganiach finansowych, bo cygan nie splami się pracą, a jeśli w rzadkich chwilach pomyślnej koniunktury zdobędzie trochę mamony, stara się upłynnić ją jak najszybciej, gdyż pieniądz, praca, przyzwoite ubranie, zagrażają jego autentyczności.

Na nieszczęście obowiązuje reguła: społeczeństwo w zasadzie nie ma nikomu za złe, że woli żyć tak czy ina-

(Dokończenie na str. 16)

PREKURSORZY Z DREWNIANYMI MIECZAMI

RYSZARD KRASKO

GORLIWI wyznawcy nauk Kalwina zgromadzeni na synodzie w Seeminie w styczniu 1556 r. nieufnie, ale i z ciekawością zarazem, patrzyli na przemawiającego w imieniu Mikołaja Radziwiłła — Piotra z Goniądza. Byli wśród zebranych tacy, którzy go już znali z widzenia, i tych nie raził dziwaczny nieco strój posła tak znakomitego pana. Wiedzieli, że Piotr Giżka, zwany też z łacińska Genezjuszem, najchętniej przyoblekał ową prostą, szarą siermięgę przepasaną konopnym sznurem, u którego dyndał olbrzymi, po ziemi aż wlokący się drewniany miecz. Piotr demonstrował w ten sposób swoją niechęć do rycerstwa, do wojen, do rozstrzygania nieporozumień orężem.

Nie ten jednak strój najbardziej niepokoił zebranych. Słyszeli już coś również i o poglądach głoszonych przez młodego ministra. Odwiedzał przecież na polecenie Radziwiłła wszystkie zbory litewskie, a po każdej takiej wizycie zaniepokojeni ministrowie kalwińscy słali listy do superintendentów: to, co mówi Piotr pachnie herezją!

O rodzie Piotra niewiele wiedziano. Urodził się w niedużym miasteczku podlaskim, Goniądzu, należącym od początku XVI stulecia do rodziny Radziwiłłów, jakiś czas bawił w Białej, należącej również do tych litewskich potentatów, i stamtąd udał się na kilkuletnią peregrynację po Europie! Studia w Padwie odbywał pod przemożnym wpływem Gribalda, potem dłuższy czas bawił wśród anabaptystów morawskich i tam bodaj nasiąknął owym radykalizmem społecznym tak bardzo rażącym nawet wyznawców kościoła reformowanego.

Przeczucia nie zawiodły uczestników synodu w Seceminie, drugiego jak się zdaje synodu ariańskiego na ziemiach polskich: tak radykalnych poglądów nie głosił dotychczas żaden z teoretyków protestantyzmu polskiego. Już potępienie dogmatu o Trójcy było herezją, a gdy w dodatku mówca wystąpił ostro przeciwko chrztowi niemowląt, gdy zaatakował piastujących i ubiegających się o świeckie urzędy, gdy wreszcie publicznie napiętnował to wszystko, co dotychczas powszechnie uważano za najwyższe cnoty rycerskie — zgromadzeni jednomyślnie potępili credo Piotra i dla odżegnania się od jego herezji odprawili publiczne modły.

Konsekwencje tego wystąpienia nie dały długo na siebie czekać. Radziwiłł był wprawdzie protestantem, ale był zarazem magnatem piastującym wiele urzędów i chlubiącym się swymi przewagami wojennymi. Heretycki pacyfizm Piotra kompromitował go, nic też dziwnego, że natychmiast po opublikowaniu wieści z synodu odmawia swemu podopiecznemu dalszej protekcji. Na szczęście inny magnat litewski i podlaski, Jan Kiszka, powodowany w równej mierze tolerancją, co chęcią uczynienia na złość Radziwiłłowi, przygarnia Piotra i osadza go w Węgrowie.

Kiszka, choć sam był uczniem Castelliona i wychowankiem wolnomyślnej wszechnicy w Bazylei, nie godził się z radykalnymi poglądami swego nowego pupila na kwestie społeczne. Tym gorliwiej natomiast poparł go w poglądach teologicznych. Z wągrowskiej drukarni wkrótce po przybyciu tam Piotra wyszło niewielkie dziełko wyszydzające chrzest niemowląt. Koszty druku i propagandy pokrył oczywiście ze swej szkatuły Jan Kiszka, za co go na następnym synodzie potępiono publicznie wraz z autorem książeczki.

Tak oto w wielkim skrócie wygląda pojawienie się na widowni polskiego protestantyzmu pierwszego anabaptysty, który do swych poglądów doszedł zupełnie samodzielnie i który stał się twórcą jednego z najradykalniejszych kierunków arianizmu.

W dwanaście lat po wystąpieniu Piotra z Goniądza arianie polscy raz jeszcze wstrząśnięci zostali do głębi

(Dokończenie na str. 15)

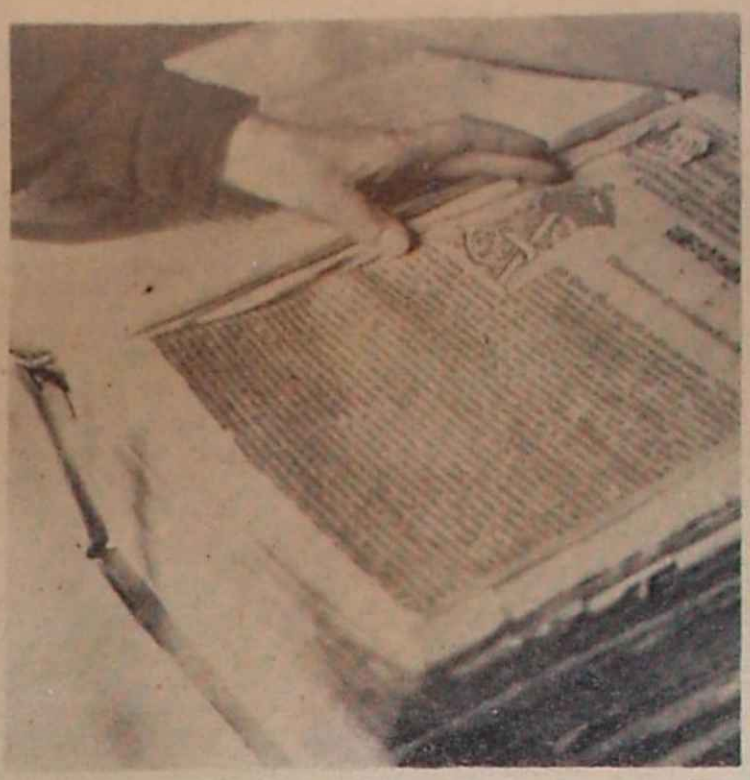

Biblia dysydencka drukowana w Nieświeżu z inicjałem S A Zygmunta Augusta

Foto S. Deptuszewski

20-lecie PPR na Ziemi Chełmskiej

(Dokończenie ze str. 2)

samym tylko powiecie chełmskim GL przy końcu 1943 r. liczyła blisko 1000 partyzantów.

Długa jest lista wystąpień zbrojnych oddziałów partyzanckich na terenie Ziemi Chełmskiej. Wymienię choćby niektóre z nich. Partyzanci zaatakowali posterunek w Rakołupach, skąd uwolnili członka PPR Błazuckiego i kilku aresztowanych AK-owców. W 1943 r. zniszczono tor kolejowy na trasie Rejowiec — Lwów. Wysadzony w powietrze most kolejowy między Uhruskiem, a Sobiborem spowodował wykolejenie się pociągu wiozącego żołnierzy niemieckich na wschodni front. Stoczono setki bitew z oddziałami hitlerowskimi oraz przeprowadzono szereg innych zbrojnych akcji mających na celu niszczenie okupanta.

Warto wspomnieć, że PPR wydawała własne podziemne czasopisma, które były kolportowane przez członków partii i GL do miast i wsi województwa lubelskiego. Najbardziej popularny był „Żołnierz Lubelszczyzny", redagowany przez Szymona Krakowskiego.

Do chwili powstania PPR komuniści chełmscy działali pojedynczo, a następnie w luźnych grupach. Od stycznia 1942 r. jednostki i grupy te skonsolidowały się w system organizacyjny, który z każdym dniem wzmacniał się i tworzył wysoko wartościową siłę ideowo-polityczną na terenie Ziemi Chełmskiej.

W latach 1942—1944 w większości gmin istniały komitety gminne PPR, którym podlegały miejscowe komórki gminne. W tym czasie I sekretarzem Komitetu Powiatowego PPR był Józef Skubij. Podwójna konspiracja (okupant i miejscowe elementy reakcyjne) powodowała jednak ograniczoną działalność KP. Nadzwyczaj ożywioną działalność w tym okresie prowadzą gminne komitety w Cycowie, Krzywiczkach, Olchowcu, Rakołupach i Żmudzi.

1 maja 1944 r. Komitet Powiatowy PPR zorganizował wielki wiec w lasach leśniowickich z udziałem ponad 1000 osób z powiatów chełmskiego, hrubieszowskiego i krasnystawskiego. Wiec ten odbył się pod silną ochroną oddziałów AL, których dowódcą był Józef Małysz (pseudonim Marek). Uczestnicy wiecu z dużym entuzjazmem przyjęli tekst deklaracji ideowo-programowej PPR. Ponadto uchwalono wtedy rezolucję o solidarnej działalności PPR, AL i BCh przeciw wspólnemu wrogowi.

Redagowane przez Stanisława Orłowskiego i Stanisława Górę czasopismo „Trybuna Wolności", kolportowane przez członków partii i jej sympatyków, rozchodziło się niemal do wszystkich komórek organizacyjnych na terenie Chełmszczyzny i sąsiednich powiatów. Czasopismo to do chwili wyzwolenia podtrzymywało ludność na duchu i zachęcało do zbrojnej walki przeciw hitlerowcom.

Lipiec 1944 r. Nareszcie przyszło długo oczekiwane wyzwolenie z rąk okupanta. W dniu 23 lipca 1944 r., w lokalu przy ul. Lenina 18 (nazwa obecna), odbyło się pierwsze po wyzwoleniu posiedzenie Komitetu Powiatowego i Miejskiego PPR w Chełmie. Pierwszym sekretarzem KP wybrany został jednogłośnie Stanisław Orłowski, a pierwszym sekretarzem KM został Bronisław Kamiński.

W sierpniu 1944 r. zorganizowano Miejską, Powiatową i Gminne Rady Narodowe. Podstawą powstających rad był Manifest PKWN.

W pierwszych dniach po wyzwoleniu powstają nowe koła PPR we wsiach, osadach i miasteczkach powiatu chełmskiego. Zwiększa się liczba członków partii. Znalazły się jednak wrogie władzy ludowej elementy, utrudniające pracę nowo powstającym kołom. Szereg aktywnych członków ginie z rąk wrogów władzy ludowej. Giną wtedy Piotr Kobela, sekretarz koła w Krzywiczkach, Adam Kowalski, sekretarz koła z Wojsławic i wielu innych, którzy w okresie okupacji i zaraz po wyzwoleniu dali wyraz głębokiego umiłowania Ojczyzny. Mimo trudności i niebezpieczeństw, komórki PPR w powiecie chełmskim rozwijają swą działalność. Uwidacznia się to przede wszystkim w pracy nad reorganizacją gminnych rad narodowych.

W okresie okupacji członkowie PPR, mimo surowych zakazów i mordów dokonywanych przez hitlerowców na członkach partii, działali w ukryciu i kierowali ruchem wyzwoleńczym, a w chwili ucieczki okupanta stali się pierwszą władzą demokratyczną Polski Ludowej. Ciałem i duszą w przebudowie starego ustroju państwowego była Krajowa Rada Narodowa, która powstała 31.XII.1943 r., w okresie najbardziej wzmożonego terroru hitlerowskiego. KRN wyrosła z woli ludu pracy i całego narodu polskiego.

Dzisiaj wielu członków partii nie żyje, padli na posterunku w walce o lepsze jutro. Obok komórek PPR na terenie powiatu chełmskiego działała również PPS. Działalność dwu partii, można powiedzieć — pokrewnych, niekiedy stwarzała pewne trudności i taki stan trwał do 15.XII.1948 r., tj. do chwili, kiedy nastąpiło połączenie się partii PPR z partią PPS jako najbardziej pokrewnych ideowo, z których w wyniku połączenia powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

PPR podjęła ideologię i tradycje KPP. Prowadziła ona walkę o wyzwolenie społeczne mas pracujących. W momencie wyzwolenia Polska Partia Robotnicza mogła już przyjąć w Chełmie, pierwszym wyzwolonym grodzie polskim, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i brać udział w ogłoszeniu i upowszechnieniu podwalin ustroju Polski Ludowej, zawartych w wiekopomnym Manifeście Lipcowym.

Na marginesie warto wspomnieć, że w ramach Biblioteczki Społeczno-Politycznej Wydawnictwa Lubelskiego, jeszcze w br. ukaże się praca poświęcona działalności PPR, AL i GL w okresie okupacji na terenie powiatu chełmskiego.

Zenon Kwaśniewski

UCHWAŁA
Międzywojewódzkiej Narady

(Dokończenie ze str. 2)

9. Utworzenie Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy i Twórców Ludowych, celem umożliwienia im wymiany myśli oraz organizowania spotkań twórców ludowych ze społeczeństwem.
10. Organizowanie muzeów regionalnych.
11. Zabezpieczenie strojów regionalnych poprzez stworzenie odpowiednich zbiorów.

IV. W ZAKRESIE DZIAŁALNOŚCI PUBLICYSTYCZNEJ I WYDAWNICZEJ:

1. Dalsze wydawanie „Kameny" w charakterze dwutygodnika społeczno-kulturalnego — z perspektywą przejścia z czasem na tygodnik.
2. Nadanie pismu „Kamena" jeszcze bardziej zdecydowanego charakteru trybuny międzywojewódzkiej, która umożliwiłaby szeroką wymianę doświadczeń w pracy społeczno-kulturalnej oraz prezentowała dorobek literacki ze szczególnym uwzględnieniem młodych talentów i całokształtu życia kulturalno-oświatowego.
3. Dalsze poszerzenie Kolegium Wydawniczego „Kameny" o przedstawicieli województw: białostockiego, kieleckiego i rzeszowskiego, z tym, że każde z nich reprezentowane byłoby w Kolegium przez dwóch przedstawicieli.
4. Zorganizowanie w poszczególnych województwach narad środowiskowych, w których uczestniczyliby przedstawiciele wszystkich placówek, instytucji, towarzystw regionalnych celem powołania do życia stałych społecznych komitetów redakcyjnych „Kameny" w tych województwach, oraz delegowanie spośród nich stałych przedstawicieli do Kolegium.
5. Przekazanie postulatu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach w sprawie uwzględnienia pomocy finansowej w wydawaniu „Kameny".
6. Udostępnienie specjalnej kolumny kwartalnej w „Kamenie" dla ogłaszania informacji i problemów, którymi zajmuje się aktualnie Komisja Współpracy Międzywojewódzkiej.
7. Uwzględnianie w programach rozgłośni i prasy regionalnej czasu i miejsca dla omawiania zagadnień z zakresu inicjatyw społeczno-kulturalnych.
8. Omówienie na naradach środowiskowych w poszczególnych województwach (poświęconych współpracy z „Kameną") najpilniejszych potrzeb wydawniczych terenu oraz zebranie w miarę możliwości jak najbardziej konkretnych propozycji. W naradach tych uczestniczyliby zaproszeni przedstawiciele „Kameny" i Wydawnictwa Lubelskiego, zaś dla utrzymania systematycznego kontaktu i czuwania nad zaspokajaniem potrzeb terenowych poszczególne województwa delegowały 1—2 stałych członków rady wydawniczej Wydawnictwa Lubelskiego.
9. Włączenie do istniejących już serii Wydawnictwa Lubelskiego na stałe publikacji z województw: białostockiego, kieleckiego i rzeszowskiego, które stanowiłyby kolejne pozycje w ramach Lubelskiej Biblioteki Poetyckiej, Lubelskiej Bibiloteki Ludowej, Biblioteki Społeczno-Politycznej i innych serii wydawniczych.
10. Powołanie do życia Międzywojewódzkiej Biblioteki Regionalisty, w ramach której ukazywałyby się prace stanowiące pomoc dla działaczy ruchu regionalistycznego we wszystkich jego przejawach (np. bibliografia Białostocczyzny, kalendarium najważniejszych dat i wydarzeń Ziemi Kieleckiej itd.).
11. Wydawanie rokrocznie wspólnego kalendarza, zawierającego część materiałów stałych dla wszystkich województw, część wymiennych (mutacja dla każdego województwa).
12. Powierzenie Bibliotece im. Łopacińskiego w Lublinie zorganizowania narady w celu opracowania zakresu i metod zbierania materiału do bibliografii bieżącej wszystkich 4 województw, jak również bibliografii retrospektywnej, obejmującej dorobek minionych lat.
13. Wydawanie większej ilości książek, które uwzględniałyby jednocześnie problematykę wszystkich 4 województw. Dla zapoczątkowania tej akcji, jako dwie pierwsze publikacje planuje się wydanie jeszcze w roku 1962 tomu wspomnień byłych działaczy PPR, GL i AL z terenu województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego, a w następnej kolejności tomu reportaży.

Lublin dnia 29 marca 1962 r.

W następnych numerach „Kameny" będziemy zamieszczać ciekawsze wypowiedzi z Narady. — Red.

W RZESZOWIE TEŻ SĄ PLASTYCY

(Dokończenie ze str. 12)

dziennikarze. Kto zagwarantuje im jaki taki spokój i ciszę do pracy, bo cała ta artystyczna brać zadomowiła się w dziale kulturalnym i gardłowała na całą redakcję od rana do wieczora...

Otóż ta „artystyczna brać" to byli studenci, kończący krakowską ASP. Będąc już na finiszu swych studiów, umyślili sobie osiedlić się w Rzeszowie.

Pierwszym ich startem był udział w „Wystawie Plastyki Ziemi Rzeszowskiej", która odbyła się jesienią 1955 r. Wystawa wywołała duże zainteresowanie, mówiło się o niej nie bez entuzjazmu i nie tylko w granicach województwa. Ekspozycja ta, zasilona głównie przez płótna młodych, świeże, śmiałe i pełne dynamiki, wywołała burzę dyskusji. „...W Rzeszowie waliło się niebo i pan Franciszek Grabowski, miejscowy „czynnik od kultury", nawracał zbłąkanych w zgniłym formalizmie, reprodukcjami wszystkim znanymi, które już nie budzą wesołości przeciętnego znawcy sztuki, ...pisał Wiesław Rustecki w „Przeglądzie Kulturalnym".

Młodzi plastycy odjechali do Krakowa, by w 1956 r. powrócić tu pod nazwą „Grupy 14". Przyznać należy, że nie tak łatwo jest zdecydować się na przyjazd na prowincję, środowisko bądź co bądź obce, gdzie nie czekają żadne zorganizowane warunki, żadne „posady" ani mieszkania. Tych kilkunastu młodych zapaleńców zamieszkało w dwóch pokoikach przy ul. Szopena, które hojną ręką przydzieliła im Miejska Rada Narodowa.

Nikt chyba nie wątpi, że warunki nie należały do luksusowych, ba, były stokroć gorsze niż na studiach, gdzie każdy bądź co bądź miał stypendium i własne łóżko w Domu Akademickim. Jednak spanie na blejtramach czy innych akcesoriach malarskich nie psuje urody życia ludziom, którzy są w „stanie łaski", zwanej młodością.

W krótkim czasie zorganizowano wystawę objazdową, która dotarła nawet do miejscowości, nigdy jeszcze nie odwiedzanych przez tego rodzaju ekspozycje. Czterema różnymi trasami szły cztery różne wystawy. Autorzy, pełniący rolę organizatorów i prelegentów wspominają dziś z niemałym wzruszeniem tę pierwszą akcję, która spełniła dużą rolę w upowszechnianiu kultury plastycznej. Towarzyszący młodym plastykom w ich poczynaniach Włodzimierz Pomianowski nakręcił film dokumentalny pt. „Nieproszeni".

Dziś wszyscy z przybyłych w tym czasie plastyków ustabilizowali się w Rzeszowie. Z biegiem lat dzięki poparciu KW PZPR otrzymali „ludzkie" mieszkania. Istniejąca pracownia sztuk plastycznych normuje dostarczanie zleceń w odpowiednie ręce przygotowanych do tej pracy plastyków, likwidując zarazem znachorskie uprawianie szmiry przez „amatorów".

W roku 1957 wybrano Zarząd Oddziału ZPAP, w skład którego weszli reprezentanci starszego pokolenia oraz przedstawiciele młodych. Praca w Związku ruszyła pełną parą. Energia, zapał i przedsiębiorczość młodych w połączeniu z rozwagą i doświadczeniem starszych kolegów dawały pozytywne wyniki, chociaż zrealizowanie każdego przedsięwzięcia, każdego zamierzenia, wymagało dużo wysiłku.

Rozpoczęła się wytężona praca. Akcja odczytów, wystaw, dyskusji objęła nie tylko Rzeszów, ale i inne miejscowości naszego województwa, nierzadko trafiając do wiejskich świetlic. W kolejno wybieranych zarządach z dużym poświęceniem i bardzo efektywnie pracowali: Zdzisław Ostrowski, Adolf Jakubowicz, Jerzy Majewski, Stanisław Szmuc, Jadwiga Dzięgdzielewicz, Jerzy Sienkiewicz.

Dziś plastycy posiadają własny „domek", mieszczący w swych wprawdzie dość szczupłych salach biuro zarządu, Ognisko Kultury Plastycznej, które wznowiło swą działalność oraz Wojewódzkie Biuro Wystaw, którego dyrektorem został nieprzypadkowo artysta-plastyk Cezary Kotowicz, mający na swym kącie niemałe zasługi w dziedzinie krzewienia kultury plastycznej.

Ognisko plastyczne, mające na celu przede wszystkim działalność upowszechniającą spełnia jakże pożyteczne zadanie. Pod opieką plastyków malują dzieci swe urzekające obrazki, przychodzi tu również młodzież i ludzie dorośli, spędzając wolne od pracy godziny w atmosferze sprzyjającej rozwojowi zdolności i zamiłowań.

Wciąż jeszcze poważnym mankamentem jest brak stałej sali wystawowej. Dotychczas wystawy eksponowane są w różnych miejscach, w zależności od sprzyjających w danym czasie warunków. Odbywają się one bądź w salach Muzeum, bądź Wojewódzkiego Domu Kultury, w foyer Teatru czy skromnej salce związkowej. Ale już w 1964 roku ma zostać oddany do użytku budynek dawnej synagogi, w którym znajdą pomieszczenia dwie obszerne sale wystawowe, 9 pracowni, lokal dla biura wystaw oraz pomieszczenia dla Zarządu Oddziału.

Jednakże mimo dużych trudności obiektywnych wystawy odbywają się permanentnie. Przypominają wciąż społeczeństwu rzeszowskiemu, że plastyka jest integralną częścią kultury, jest nieodzownym czynnikiem w jej kształtowaniu i rozwoju.

Malarstwo i rzeźba wychodzą dziś z pracowni, wychodzą poza tradycyjne sale wystawowe, biorą udział w życiu szybkim i dynamicznym, ukazują swą urodę na murach miasta i w wnętrzach domów, wiążą się ściśle z architekturą, wzbogacając jej formy. Rzeszowscy plastycy mają w tej dziedzinie rzetelne osiągnięcia.

Jak w każdym środowisku twórczym, tak i tu zarysowują się pewne różnice poziomu, różnice wrażliwości, umiejętności warsztatowych, no i zasadnicze różnice w sposobie wypowiadania się. Daleka jestem od szufladkowania talentów. Nie miejsce tu również na analizę osiągnięć poszczególnych twórców. Wspomnę tylko, że w recenzjach z poszczególnych wystaw przypadło rzeszowskim plastykom wiele słów uznania. Wiele mówiono o dynamicznym malarstwie Alfreda Kuda, o ciekawych i lirycznych w nastroju monotypiach Jerzego Sienkiewicza, laureata ostatniej Wojewódzkiej Nagrody Twórczej, mówiono z uznaniem o pracach Jerzego Majewskiego, Zdzisława Ostrowskiego, Adolfa Jakubowicza, Edwarda Kieferlinga, Bolesława Duszy, Zuzanny Kusek-Kudowej, Jadwigi Dzięgdzielewicz, Cezarego Kotowicza, Stanisława Szmuca, Tadeusza Turkowskiego i wielu innych.

Maciej Gutowski, recenzent krakowski, mówi o jednej z naszych wystaw: ...„wystawa, na której znalazło się wiele bardzo dobrych prac, jest przeglądem możliwości środowiska, jest równocześnie dobrą zapowiedzią przyszłości, o ile artyści wystawiający będą kroczyć po przyjętej drodze. Jest przykładem bardzo charakterystycznego zjawiska w sztuce polskiej lat ostatnich — dochodzenia do głosu środowisk mniejszych i wzrostu ich znaczenia. Może stanie się to początkiem rzeczywistego rozszerzenia prawdziwej kultury plastycznej."

Rzeszowscy plastycy nie ograniczają się do brania udziału w ekspozycjach na terenie naszego województwa. Prace ich są częstymi gośćmi w krakowskim „Pałacu Sztuki", w wystawie 15-lecia PRL organizowanej w Warszawie brało udział 14 autorów. Zorganizowany w roku bieżącym konkurs pod hasłem „Piękno Ziemi Rzeszowskiej" dał przegląd wielu interesujących prac. Ostatnio Zarząd Oddziału nawiązał umowę z Domem Książki, który prowadzi stałą sprzedaż malarstwa i grafiki.

Na rok bieżący zaplanowano 20 wystaw, w tym szereg indywidualnych. Stałe sale wystawowe ułatwią w przyszłości wymianę ekspozycji z innymi województwami.

Sztuka wkracza we wszystkie dziedziny życia, czyni niejako piękniejszym trudny dzień powszedni. Jest wyrazem dążeń myśli i uczuć współczesnego człowieka. ...„Sztuka nie jest dla mnie ani wypoczynkiem, ani ucieczką"... powtarzam za Mieczysławem Porębskim ...„Szukam w niej afirmacji swych przeżyć i oczekiwań, szukam natchnienia w postępowaniu, podpory i pomocy w chwilach złych i trudnych. Uważam ją za najczulszy instrument kontrolny dla wszystkiego w co wierzę i co mnie otacza. Dlatego żądam od niej dużo. Żądam m. in. żeby mi unaoczniła i potwierdziła sens czasu, w którym żyjemy.

Renata Niemirska-Pisarek

Prekursorzy z drewnianymi mieczami

(Dokończenie ze str. 14)

i wręcz zaszokowani wystąpieniem innego teoretyka protestantyzmu, wywodzącego się również z ziem należących dziś do województwa białostockiego. Był nim ekssuperintendent wileński Paweł z Wizny. Na synodzie w Iwiu wołał do zdumionych braci:

„Ja tak rozumiem i tak wierzę, iż się wiernemu nie godzi mieć poddanych a daleko mniej niewolników i niewolnic, gdyż to jest rzecz pogańska panować nad swoim bratem, potu jego a raczej krwie używać. Ano pismo św. jaśnie świadczy, że Bóg z jednej krwi uczynił wszystek rodzaj człowieczy, wedle czego wszytcy jesteśmy sobie równi, bo jeśli wszytcy z jednej krwi, tedyśmy wszytcy sobie bracia, a jeśli bracia, to jakoż może brat nad bratem panować? Jak może potu jego używać?"

Głoszenie takich poglądów w czasach, gdy cały ustrój oparty był na poddaństwie, było już czymś znacznie gorszym niż herezją: godziło w rację stanu. Na szczęście dla Pawła panował wówczas w Polsce arcytolerancyjny i iście renesansowy król Zygmunt August, — w przeciwnym razie szybko znalazłby się na stosie lub w najlepszym razie na banicji. Poglądami swymi naraził się Paweł wielu możnym protektorom ariaństwa, ale jednocześnie zjednał sobie wielu stronników pochodzących jak on sam z ówczesnych nizin społecznych, ze stanu plebejskiego. Na ataki przeciwników twierdzących, iż panujący ustrój społeczny jest zgodny z nauką kościoła, Paweł z Wizny odpowiadał:

„Aza nie ciężkie roboty, a jeszcze ustawicznie bez odpocznienia, ilu tu u nas na Litwie, a już i w Polsce poddani panom swym robią? że sami niebożątka plewy by świnie jedzą, a ziarna na czynsze, na sierepszczyzny lub na pobory i na inne popłatki przedać muszą?".

Piotr i Paweł byli twórcami odrębnych, zwalczających się nieraz kierunków arianizmu. Paweł z nieufnością odnosił się do antytrynitarskich poglądów Piotra, ten zaś, zapewne pod wpływem swego protektora — Kiszki, dość sceptycznie patrzył na idealne społeczeństwo rakowskie. Obaj jednak byli z tych ludzi, którzy ocalili arianizm polski przed zejściem na drogę ciasnego doktrynerstwa. Oni to oraz ich zwolennicy i uczniowie nadali arianizmowi rangę ruchu społecznego. Dziś po czterech wiekach podziwiać tylko możemy odwagę tych myślicieli mówiących o szkodliwości wojny, o wyzysku chłopów, o braterstwie wszystkich ludzi bez względu na pochodzenie społeczne. A choć do przekonań swoich doszli innymi drogami niż my, czujemy się niejako spadkobiercami i kontynuatorami ich przekonań społecznych.

Białystok, w kwietniu 1962 r.

Ryszard Kraśko

ALMANACH POEZJI RZESZOWSKIEJ

O formę z młodymi spierać się nie będę. Wykrystalizowana forma to logistyka, w której klamry ujęta została nieokiełznana poetycka wyobraźnia. Ale do jej tajemnic i finezji dociera się po latach żmudnej pracy.

Gdy rzuca się „słowa pierwsze" i czeka, co one przyniosą, ważne jest, w jaki uderza się ton. I ważne jest, jakie wywoła on echo. Ważne jest, co młode oko widzi i jak mu w kształt obrazu, i jakiego, myśl wcielać się zaczyna. Widzenie świata jest takie, jaki jest „kraj poety", w którym różnorodność, choćby pierwotnych, surowych kojarzeń układa się we wzór zależny od sił wewnętrznych mocniej lub słabiej te kojarzenia poruszających.

W tych warunkach wybór poetyckiego tematu albo takiego, który za poetycki uznać należy, jest czynnością przypominającą (z odległych trochę czasów) składanie biletu wizytowego. Będzie nim i tytuł każdego utworu i akcesoria towarzyszące mowie wiązanej i niewiązanej, i delikatność dotyku tych spraw uczucia i myśli, które tylko finezja uwypuklić jest w stanie.

Siłą rzeczy będzie nim i tytuł zbiorku, jeśli taki wydany został.

Piętnastu młodych poetów znalazło wydawcę w Związku Młodzieży Wiejskiej i w Wydziale Kultury w Rzeszowie.

Są to: Marian Berkowicz, Bronisław Dryja, Jan Grygiel, Czesław Piotr Kondraciuk, Wiesław Kulikowski, Ludomir Mazela, Zdzisław Ostrowski, Stanisław Penar, Tadeusz Piekło, Ludmiła Pietruszkowa, Krystyna Szymonowicz, Barbara Tondos, Jerzy Walawski, Wincenty Zawirski i Edward Zołowski.

Utwory ich złożyły się na treść Almanachu Poezji Rzeszowskiej.

Odczułem pierwszy zgrzyt, a może dźwięk poetyckiej muzyki konkretnej.

— Poezja rzeszowska?!

Czy rzeczywiście istnieje jakaś poezja rzeszowska? A jeśli tak, to również warszawska, lubelska, łódzka i gdańska. Tak jak chleb i kiełbasa, które noszą nazwy różnych regionów, ale smak mają ten sam.

Myślę, że w tytule uderza niedopracowanie, niedociągnięcie, wynikające z nieśmiałości i braku odwagi.

Ale tytuł zbiorku zawsze jakoś powiązany jest z tytułami składających się na niego utworów i słów i pojęć w nich zawartych. Więc zrobić trzeba choćby pobieżne zestawienie.

„Zaludnienie", „Czekanie", „Zwierzęta", „Powrót", „Zażalenie majowe", „Świt", „Płacz", „Rozstanie", „Pamięć", „Krzyk", „Rodzina", „Zebranie", „Ładunki", „Zachód", „Świt" (po raz drugi), „Pamięć" (też po raz drugi).

Ta seria nie pobudza i nie porusza.

„Księżyc w winie", „Przedsionki smutku" i „Krople ciszy", „Ballada o twarzach", a nawet „Błękitna nadzieja" — to seria druga, która budzi pewne nadzieje.

Ale gasi je zestawienie trzecie: „To nie nasza sprawa", „Kameralnie", „Wspólne", „Zupełnie prosta czynność", „Podejdź bliżej", „Kropiło niebo".

Za tymi anemicznymi tytułami kryją się monotonne i nieco szablonowe obrazy.

„Roześmiany księżyc jakby śledził oblicze kochanków". „Drzewa szumią melodyjnie", „Źródło słońca i siły, spokoju i wesołości", „Chcę wzlecieć nad szarą krainę młodości" (dlaczego szara?), „Bzu gałęzie mokre", „Na skrzyżowaniu dnia i nocy", „Śmierć ich złapała w swoje sidła", „Duży warkocz złocisty", „Pożar zachodu", „W lśnień srebrzystość".

To niewątpliwie złom poetycki, który zebrała rzeszowska młodzież i do Składnicy Związku Młodzieży Wiejskiej i Wydziału Kultury przyniosła.

Nigdzie w całym tomiku nie dźwięczy akord buntu i chęci walki o nową treść czy formę, nigdzie w żadnym utworze nikt niczego nie żąda, nie krzyczy, nie uderza, nie grozi.

Grzecznie brzmią pozytywki słów.

Czy to oznacza, że ten tom pozbawiony temperamentu jest bezwartościowy? Byłby to wniosek niesprawiedliwy.

„Głęboko pod korą, pod chłodem białych płatków śpią czujnie żywe pąki nadziei". Ta strofa z wiersza Krystyny Szymonowicz jest jakby kwintesencją treści tomiku.

Jest wiele wersetów, wskazujących wyraźnie na możliwości pisarskie autorów, choć hamuje je lękliwość wypowiedzi.

„Zamknąć się w ciszy i przetrwać, przeczekać — wicher pogardy wzburzony świat". To jakiś neokatastrofizm, który w wierszu Ludomira Mazeli wyłania się z lękowych pragnień ucieczki. A więc nie program walki, ale cofanie się.

„Korytem rzeki płynie ołów, a po nim chodzi przerażenie" — pisze w wierszu „Jesienny cmentarz nad rzeką" — Tadeusz Piekło.

„Ci, co umierali co dzień i co dzień musieli żyć — do życia i ku śmierci pędzeni przemocą" („Epitafium bieszczadzkie" Krystyny Szymonowicz).

Może dramatem młodego pokolenia, rodzącym (przynajmniej pozornie) jego bezsilę, jest spadek okresu ścian zagłady i kataklizmów. Ale o zburzenie tej ściany powinna choćby w wizji poetyckiej pokusić się właśnie młodzież. Brak obrazów siły i walki rodzi prowincjonalny dekadentyzm.

Wstęp do tego Almanachu napisał, trochę na wyrost, Artur Międzyrzecki, a błogosławieństwa na drogę poetycką udzielili starsi pisarze, pochodzący z Rzeszowszczyzny, którzy obok młodych w Almanachu zamieścili swe utwory, Julian Przyboś, Stanisław Piętak i Jan Bolesław Ożóg.

Wiele zwrotów, wiele metafor, wiele słów rzuconych jakby przypadkowo — manifestuje ukryty nurt poetyckości. Kiedy przebije on skorupkę i wypłynie szeroką falą na powierzchnię, trudno przewidzieć, ale trzeba mieć nadzieję, że to nastąpi i że „żywe pąki nadziei" czerpiąc energię z tego nurtu zakwitną bujnie.

W. G.

Jakoś to nie jest...

(Dokończenie ze str. 6)

krycia istotnych korzeni. A może tu właśnie leży wielkie pole działania stowarzyszeń zawodowych, związków, różnych organizacji, a nawet klubów?

Doprawdy sam nie wiem. Ale wiem, że nie ja jeden oburzam się na zmarnowane miliony, a nie wykorzystaną inicjatywę, na zawiedzione nadzieje. Czas już, abyśmy zaglądali, jaka jest podszewka planu, co się dzieje za kulisami cyfr. Przeszliśmy — nie bez trudu i nie bez sukcesów — olbrzymi kawał drogi. Nie chcemy jednak dopuścić do tego, aby coś nas ciągnęło do tyłu. A nie wykorzystane na oświatę i kulturę 25 milionów zł ciągnie do tyłu.

Jerzy Dostatni

P. S. Dla zupełnej ścisłości trzeba dodać, że nie tylko w tych dwóch działach pozostały nie wykorzystane miliony. W wojewódzkim planie terenowym zostało tych milionów ok. 65. To jeszcze bardziej przekonuje autora, że ma rację, że niestety to, co nazwał brakiem odpowiedzialności społecznej, jest zjawiskiem bardziej powszechnym, niż się to na pierwszy rzut oka wydaje. I że analizując sprawę, nie można się zamknąć tylko w kręgu spraw ekonomicznych.

POWSTAJE „REFLEKTOR"

(Dokończenie ze str. 10)

Więcej już nie pamiętam, wiem jednak, że ten wierszyk zrobił piorunujące wrażenie. Balonik zamiast głowy — był na ustach wszystkich. Żyszkowski wściekał się, chciał nas podać do sądu, ale w końcu zrezygnował. Ktoś mu wytłumaczył, że rozprawa sądowa ośmieszyłaby go jeszcze bardziej. W każdym razie przestał pisać zupełnie w „Głosie Lubelskim".

W jakiś czas po tych zdarzeniach przyjechał do Lublina Anatol Stern w sprawie zbiorowego wieczoru autorskiego. Prosił nas o pomoc. W restauracji „Pod Strzechą" ja i Gralewski spotkaliśmy się z nim przy kolacji. Stern był skazany sądownie za wiersz uznany za bluźnierczy i nawet odbył częściowo karę. Miało to miejsce w Wilnie. Myśmy mieli za sobą słynną historię „Lucifera". Na tym tle łatwośmy się dogadali. Z kolei nastąpiła wymiana poglądów, prezentacja osobista i literacka.

Następnego dnia odbył się wieczór autorski, w którym wzięli udział: Anatol Stern, Bruno Jasieński i Stefan Kordian Gacki. Wieczór się udał znakomicie, a później podejmowaliśmy gości w restauracji. Pierwszy i ostatni raz widziałem wtedy Jasieńskiego, którego poezje bardzo nam się podobały. Zrobił nam wyraźny zawód, gdyż sporo pił i jadł nader obficie, lecz do rozmowy nie zdradzał żadnej chęci. Był bardzo zmęczony. Natomiast z Gackim i Sternem nawiązało się serdeczne porozumienie, które później stało się pomostem między warszawskim „Almanachem nowej sztuki" a „Reflektorem", ale „Reflektorem" już tym następnym, z roku 1925.

Konrad Bielski

Wieś jest już inna, panowie!

(Dokończenie ze str. 7)

swoje poezje i przekłady. Pierwszy raz ludzie słuchali tych wierszy i tak słuchali, że zasiedzieli się prawie do północy, a wiele kobiet płakało ze wzruszenia. Ktoś może uśmiechnie się z politowaniem w tym miejscu; ja się nie śmieję, bo czyż można się śmiać z czyichś wzruszeń artystycznych i szczerego ich pokazania. Na szczęście nie wszyscy są zarażeni cynizmem. Nie mniejszą popularnością cieszą się odczyty nawet na tzw. niechwytliwe tematy: o świadomym macierzyństwie, o aktualnej sytuacji międzynarodowej. Obecnie — o powstaniu i działalności PPR. Szczególnie popularne są tematy z zakresu prawa spadkowego, lecznictwa i oczywiście gospodarki rolnej. I biada prelegentowi, który zwłaszcza tego ostatniego tematu nie zna doskonale. Chłopi od razu poznają i więcej nie ma się po co do wsi pokazywać.

Aby już obraz rzeszowskiej wsi był mniej więcej pełny, trzeba jeszcze powiedzieć o tym, że jest ona niezmiernie aktywna czytelniczo. Województwo nasze pokrywa niemal pełna sieć bibliotek gromadzkich, istnieje kilkadziesiąt bibliotek wiejskich, czytelni i ponad tysiąc punktów bibliotecznych. Obserwujemy ciągle żądania wypływające od mieszkańców — dotyczące organizowania bibliotek. Najbardziej wymowne będą cyfry: otóż na wsi rzeszowskiej w ostatnich dwóch latach przybyło 30.000 nowych czytelników i z końcem roku 1961 było ich łącznie 160.000. Wypożyczyli oni w ciągu jednego roku 2.200.000 książek. Ponad 50.000 czytelników uczestniczyło w spotkaniach autorskich, odczytach, brało udział w konkursach czytelniczych organizowanych przez Wojewódzką Bibliotekę i przez biblioteki powiatowe, ponad 3.000 pracowało w zespołach czytelniczych zapoznając się z literaturą rolniczą, techniczną, piękną itp.

To tylko jeden odcinek życia kulturalnego wsi. Inne — to uniwersytety powszechne, zespoły artystyczne, kluby wiejskie, prace prowadzone przez Związek Młodzieży Wiejskiej, kształcenie młodzieży na Uniwersytetach Ludowych i cały szereg ciekawych form tworzonych przez samych mieszkańców wsi. Nie sposób wszystkiego wymienić. Ale wysoki poziom kulturalny wsi — to także nowe domy z łazienkami, garażami, wyposażenie mieszkań w prodiże, lodówki, pralki, to domaganie się na Zjeździe Krajowym ZMW zakładów fryzjerskich itp. I jeśli jeszcze jest na wsi dużo strzech, to jednak trzeba pamiętać, że ludzie spod tych strzech szybko zmierzają do nowoczesności i ich poziom umysłowy nie jest niższy od poziomu ludzi mieszkających w wieżowcach. I nie tylko w Rzeszowie ludzie chodzą tak samo ubrani jak w Warszawie (jak dziwił się przed trzema laty pewien dyrektor departamentu). W bieszczadzkich wsiach także.

Ludmiła Tokarska

DZIECIĘ WIEKU

(Dokończenie ze str. 13)

czej, byleby to nie obniżało mocy produkcyjnej w zawodzie, pod którym ten ktoś figuruje w ewidencjach. Ponieważ cygan nigdzie nie „figuruje" — jest na indeksie. Gdy zacznie przegrywać, tzn. da poznać społeczeństwu, uosobionemu najczęściej w postaci urzędasa (często byłego cygana), że potrzebuje jego łaski — wymówi mu każdą darmową kromkę, przypomni wszystkie bezeceństwa, każe pracować, nie żebrać. Ucierpi na tym reputacja cygana, jego mit i talent.

Współczesny cygan-artysta zna wagę słowa „chałtura". „Chałturą" wszyscy: znamy zespoły muzyczne o wyrafinowanych stylach, dorabiające nędznymi występami na prowincji lub grą na weselach wiejskich. Znamy zdolnych, nowoczesnych malarzy seryjnie produkujących ckliwe pejzaże, altanki w bluszczu i jelenie na rykowiskach. Jeszcze inni wynoszą się na prowincję na stałe, nie wytrzymując rywalizacji o byt i miejsce w wielkich ośrodkach kulturowych, przechodzą na komiwojażerstwo. Stają się emisariuszami uprawianej przez siebie dziedziny. Jeszcze inni dalej klepią wiekomiejską biedę, dopóki ciepła posadka lub intratny ożenek nie położy kresu ich marzeniom o nieśmiertelności.

Tylko prawdziwy cygan-artysta nie zna tych problemów. Żyje w swoim światku, pijaństwie, włóczędze, jałowym buncie i stercie nieodłącznych kompleksów.

Dlatego, gdy spotkasz raniutko na korytarzu jakieś dziwaczne indywiduum, przykryte zabłoconym chodnikiem, nie dziwiąc się, że coś takiego istnieje — zdejmij nakrycie głowy i przejdź marszowym krokiem, albowiem ujrzałeś tragiczne dziecię wieku, zmożone snem, alkoholem i spleenem.

Henryk Pająk

O czym pisała „Kamena" przed 25 laty

Kwietniowy nr 38 „Kameny" za r. 1937 zawierał artykuł Grzegorza Timofiejewa „Poeta ze średniowiecznej ekstazy" (o ks. Antonim Szandlerowskim w związku z 25-leciem śmierci poety), wiersze Włodzimierza Pietrzaka, Stefana Napierskiego, Olgi Dauksztу, Witolda Kasperskiego, Zdzisława Popowskiego, Czesława Janczarskiego, Alicji Iwańskiej, Marcina Seweryna, Antoniego Gronowicza i Zbigniewa Bieńkowskiego, przekłady z poezji ukraińskiej (M. Bażan, O. Wyłko, D. Fałkiwski, H. Kosiaczenko, J. Małaniuk, B. Olżycz i M. Rylski — w tłumaczeniach Tadeusza Hollendra i K. A. Jaworskiego), przekłady z poezji włoskiej (Lionello Fiumi w tłumaczeniu Zdzisława Kempfa, Sergio Corazzini i Ardengo Soffici w tłumaczeniu K. A. Jaworskiego), fragment noweli „Białe noce"

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU „KAMENY" „KULTURA W POWIECIE I W GROMADZIE"

Na konkurs wpłynęło 31 prac z różnych regionów Polski. Po zapoznaniu się z pracami jury Konkursu w składzie: Maria Bechczyc-Rudnicka (redaktor naczelny „Kameny"), Jerzy Bastian („Kurier Lubelski"), Olga Gancarzowa („Sztandar Ludu"), Edward Nadolski (kierownik Wydziału Kultury PWRN w Lublinie), Anna Tatarkiewicz („Kamena") oraz Stanisław Weremczuk (Wojewódzka Poradnia Kulturalno-Oświatowa w Lublinie) na zebraniu w dniu 28.IV.1962 r. postanowiło co następuje:

W związku z wyrównanym poziomem nadesłanych prac podwyższyć sumę przeznaczoną na nagrody do 4.000 zł, przyznając

2 równorzędne nagrody po 1.000 zł

Tadeuszowi Klakowi (woj. lubelskie) za pracę pt. „Reportaż z kołnierzem" (druk. w nr 6 „Kameny").

Czesławowi Morawskiemu (woj. szczecińskie) za pracę pt. „Kultura w gromadzie rodzi się z pracy i poświęcenia" (druk. w skrócie w nr 7–8 „Kameny").

3 równorzędne nagrody po 500 zł

Juliuszowi Ojrzanowskiemu (woj. białostockie) za pracę bez tytułu poświęconą radiowęzłowi w Hajnówce.

Jachowi Wojciechowskiemu (woj. krakowskie) za pracę pt. „Na tropach kultury" (druk. w nr 6 „Kameny").

M. Wojtasowi (woj. lubelskie) za pracę pt. „Ludzie się zmieniają".

Edwardowi Zojowskiemu (woj. rzeszowskie) za pracę bez tytułu poświęconą problematyce kulturalnej powiatu ropczyckiego.

Ponadto, w uznaniu pracy włożonej przez Uczestników Konkursu, jury postanowiło wszystkich Uczestników obdarować nagrodami książkowymi.

Nagrody pieniężne i książkowe zostaną w najbliższym czasie przesłane Uczestnikom Konkursu pocztą.

Za prace już opublikowane, lub które będą jeszcze publikowane w „Kamenie" autorzy — niezależnie od nagród — otrzymują normalne honoraria autorskie.

W jednym z najbliższych numerów „Kameny" zamieścimy obszerne omówienie wyników Konkursu, który dostarczył wiele ciekawego i cennego materiału.

Wszystkim Uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w naszym Konkursie i zapraszamy ich do dalszej z nami współpracy.

NA POMNIK CZECHOWICZA

Z inicjatywy Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich powołany został Społeczny Komitet Budowy Pomnika Józefa Czechowicza.

Pomnik ufundowany ze składek społeczeństwa i instytucji naszego miasta stanie na placyku przed gmachem Poczty.

Podajemy konto Społecznego Komitetu Budowy Pomnika: PKO Lublin Nr 2-9-6722, na które prosimy wpłacać datki na pomnik Poety.

BIAŁOSTOCKA kronika kulturalna

Dla uczczenia 20 rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej powołano w Białymstoku komitet do utworzenia Muzeum Ruchu Rewolucyjnego. Na czele komitetu stanął I sekretarz KW PZPR tow. Arkadiusz Łaszewicz. Muzeum mieścić się będzie w tzw. domu Kołłątaja (przy ul. Kilińskiego 5). Komitet apeluje do wszystkich posiadających jakiekolwiek materiały związane z ruchem rewolucyjnym na Białostocczyźnie, począwszy od powstania styczniowego, o przekazywanie ich pod adresem Muzeum Regionalnego w Białymstoku, Rynek Kościuszki — Ratusz.

*

Po wystawie indywidualnej Doroty Łabanowskiej białostocki oddział ZPAP zorganizował wystawę plastyka Jerzego Lengiewicza. Autor zajmuje się ostatnio malarstwem bezprzedmiotowym, ze szczególnym naciskiem na fakturę i kolor. Najczęściej wychodzi od konstrukcji architektonicznych opartych na pionowej osi. Przy okazji tej wystawy rozgorzały na nowo spory między zwolennikami realizmu i abstrakcji.

*

Konkurs recytatorski zakończył swą pierwszą fazę. Odbyły się eliminacje miejskie i powiatowe. Trzeba nadmienić, że tegoroczny konkurs ilościowo i jakościowo znacznie odbiegał od lat ubiegłych. Wydaje się, że lepszą propagandą poezji i dobrej recytacji byłoby, gdyby konkursy te odbywały się nie corocznie jak dotąd, lecz co 2—3 lata.

-gal-

KSIĄŻKI NADESŁANE

Historie świeże i niezwyczajne — opracowała Teresa Kruszewska wyd. II (pierwsze pochodzi z r. 1642)

Anna i Jerzy Kowalscy — Gąszcz — wyd. I

Angel Karalijczew — Worek z tykwami (opowiadania) wybór i przekład Jadwigi Nurkiewicz — wyd. I

Strumpf-Wojtkiewicz — Burzliwe dzieje T. T. Jeża — wyd. I

Hilman Wulff — Słoneczny włóczęga, przełożyły: Maria Kelles-Krauzowa i Krystyna Latoniowa — wyd. I

Marcelina Grabowska — Ucieczka z Kemeth, wyd. I

Włodzimierz Korolenko — Historia mojego współczesnego — lata uniwersyteckie — tłumaczył Paweł Hertz — wyd. I

Teatr Urszuli Radziwiłłowej, opracowała i posłowiem opatrzyła Karyna Wierzbicka, studium „Talia i Melpomena w Nieświeżu" napisał Julian Krzyżanowski, wyd. I

Charles Percy Snow — Jasność i Mrok — przekład autoryzowany Henryka Krzeczkowskiego, wyd. I

Wil Lipatow — Wilcze ziele, przełożył Tadeusz Mongird, wyd. I

Augusta Gailita (tłum. z estońskiego Alicja Maciejewska), fragment powieści Stanisława Piętaka „Rzeka była za łąkami", przegląd poezji, kronika słowiańska i noty. Wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego: „Belladonna".

Stanisław Jerzy Lec — Do Abla i Kaina, Andrzej Brycht — Suche trawy,

Grzegorz Timofiejew — Wiersze wybrane

Barbara Eysymontt — Noc pod zegarem,

Stanisław Pestkowski — Wspomnienia rewolucjonisty,

Waldemar Babinicz — Apostołowie,

Biblioteka poetów 1961: Kazimierz Bleszyński — Szekspir i Owce, Konrad Freidlich — Alert, Jan Onopa — Wzdłuż Krzyku, Zbigniew Kosiński — Mój Anioł lewy, Mieczysław Michał Szargan — Brzeg barwy, Anna Pogonowska — Młodość okupacyjna, Jerzy Waleńczyk — 39 wierszy, Lech Budrecki — Schody.

CHOCHLIK NABROIŁ

W „Składance teatralnej" („Kamena" nr V 15.III) z winy chochlika drukarskiego pominięte zostało nazwisko Z. Czeskiego jako współautora piosenek w lubelskiej inscenizacji „Króla Bajdusia". Przepraszam p. Czeskiego za tę mimowolnie wyrządzoną Mu krzywdę.

Przy okazji przypominam, że spod pióra tej samej dwójki autorskiej Czeski-Księski wyszły teksty piosenek do barwnego widowiska młodzieżowego pt. „Codziennie o 6-ej", przygotowanego ostatnio przez jeden z zespołów LDK. Widowisko jest bardzo ciepło przyjmowane przez publiczność; najciekawsza (III) część widowiska była prezentowana uczestnikom Ogólnopolskiej Konferencji Publicystów zajmujących się problematyką kulturalną — i spotkała się z powszechnym aplauzem.

(A. T.)

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" • Redaguje Kolegium: Waldemar Babinicz, Maria Bechczyc-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Aniela Cach-Piskorowa (dział rzeszowski), Aleksander Gabrusiewicz (dział białostocki), Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśniarowicz, Ryszard Smożewski (dział kielecki), Anna Tatarkiewicz • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Granicznа 1c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu" Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 1497. 11.IV.62. Nakład 1.700. D-3.